

Andrzej Majewski

– ADAM –

**NIESTRUDZONY
WĘDROWIEC**

BAŚŃ

Adasiowi i Jasiowi
–kochanym synkom
dedykuję

Andrzej Majewski

**– ADAM –
NIESTRUDZONY
WĘDROWIEC
BAŚŃ**

Ilustracje:
Marcin Giejson

Słowo wstępne:
Stanisław Srokowski

Posłowie:
Prof. Jan Miodek

Sapere Aude Foundation 2003

Projekt plastyczny całości:

Andrzej Majewski

Realizacja komputerowa:

Wojciech Majewski

Inspiracja malarska:

Edyta Biciulewicz

© Copyright by Andrzej Majewski, Wrocław 2003

Skład:

Wojciech Przybył

Wydawnictwo Sapere Aude Foundation 2003

<http://www.sapereaude.info>

Wydanie elektroniczne pierwsze

Spis treści

Słowo wstępne	6
Zaproszenie	10
Rozdział I	
ADAM I ZWIERZĘTA	13
Rozdział II	
HURAGAN I MARZENIA	25
Rozdział III	
KOLORY TĘCZY.....	39
Rozdział IV	
WYŚCIG Z ŻÓŁWIEM	51
Rozdział V	
MAG I GAGATEK	63
Rozdział VI	
PSY – BIESY	73
Rozdział VII	
ŚWIŃSKIE ŁOWY	93
Rozdział VIII	
NA ZAMKU.....	111
Rozdział IX	
PAN ŚWIATA	125
Rozdział X	
NIEBEZPIECZNA GRA	149
Epilog	175
Posłowie	181

BAŚŃ NADZIEI

Andrzej Majewski napisał baśń piękną i pełną cudownych niespodzianek. Dołączył do tych wszystkich twórców, którzy poszukują w świecie dziecięcym magii zdarzeń i uroków zaskoczeń. We wciąż zmieniającej się akcji, pełnej barwnych pomysłów, nie traci z pola widzenia niezwykle ważnych wątków wychowawczych. Wydaje się odwoływać nawet do starej tradycji greckiej, skąd czerpie pomysły fabularne, jak choćby ten, w którym występuje Żółw, przypominając w ten sposób największego bajkopisarza starożytnej Hellady, Ezopa. To jakby ślad fascynacji potęgą twórczej wyobraźni, jak i hołd złożony niezwykłemu fenomenowi sztuki kreatywnej, budującej nowe znaczenia i przywołującej na pamięć prawdy moralne.

Autor z dużą lekkością pióra oprowadza swoich czytelników po krainie niezwykłego snu, jakim jest marzenie człowieka, biorące udział w poszukiwaniu języka piękna i odpowiedzialności. Kontynuuje ten nurt

twórczości, który odwołuje się do tradycyjnej wersyfikacji i literackiej melodyki wiersza, w przekonaniu, że w młodym czytelniku drzemie odwieczne pragnienie harmonii i porządku. Stąd jego baśń jest pisana klasycznym rytmem i rymem, przypominającym romantyczne poematy, czy wcześniejsze pieśni obrzędowe.

Majewski bezgranicznie zaufał utrwalonym wzorom wierszopisarstwa, sądząc, że współczesny czytelnik tęskni za sprawdzoną i utrwaloną przez wieki miarą wiersza. I pewnie znajdzie zwolenników takiej poetyki zarówno wśród dzieci, które same układają zgrabne melodie, jak i u dojrzałych zwolenników staropolskiej szkoły wierszowania. Bowiem książka tak została pomyślana, by służyła zarówno rozbudzonym intelektualnie uczniom klas podstawowych, jak i ich ojcom, matkom, babkom i dziadkom, którzy z nostalgią wspominają dawne czasy i niegdysiejsze swoje lektury, pełne krasnali, zaklętych pięknych królewn, ciemnych duchów, złowieszczych biesów i czarodziei, eleganckiego stylu i tajemniczych

wątków. Trzeba powiedzieć, że nie brakuje autorowi żywej inwencji umysłu, przejrzystości języka i zmienności tonu. Świetnie porusza się w gęstwinie literackich labiryntów, znakomicie sobie radząc z dynamiczną narracją, jak i z wyrazistymi, nieraz rubasznymi dialogami. Nie byłby naturalnie także sobą, gdyby nie wprowadził do baśni wielu życiowych mądrości, przysłów i przypowieści, zgrabnie je przeplatając ze zmienną, bogatą i atrakcyjną czytelnicze, nieraz tryskającą humorem, akcją, w której ostatecznie zwycięża dobro, a zły Pan Świata, który skupuje dusze, ponosi klęskę. Książka dobrze zilustrowana, sprawi niejednemu czytelnikowi dużą radość, przypominając twierdzenia naszych pradziadów, że z dobrej i mądrej baśni zawsze rodzi się nadzieja.



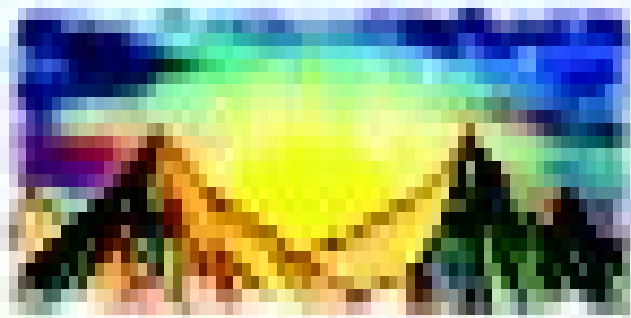
Stanisław Srokowski

***Najpotężniejszą siłą we wszechświecie
jest siła woli***

Zaproszenie...

Ze stron tych woła Wielka Przygoda,
Czy słońce świeci, czy niepogoda,
Zawsze gotowi – zdążajcie z nami
W baśniową podróż Was zapraszamy...
Zwiedzimy razem Dziwne Krainy
I na Szczyt Tęczy Was zaprosimy...
Poznacie Magów, Króla straszego,
Co nie chciał słuchać ludu swojego.
Tu odpowiedzi na pytań wiele:
Jak najwspanialszym być przyjacielem,
Człowiekiem mądrym, dobrym, szlachetnym
I do zabawy kompanem świetnym?
Więc odkrywajcie sekret w skupieniu
W radosnym śmiechu i rozrzewnieniu,

A gdy skończycie, to ruszcie głową,
Odwiedźcie strony Baśni na nowo.
Kiedy za parę lat podrośniecie,
Czytając znowu coś zrozumiecie,
Treści ukryte między wierszami,
Bo Baśnie rosną z czytelnikami...
Więc puśćcie wodze swej wyobraźni,
Wczujcie się w klimat tajemnej Baśni.
W daleką podróż razem ruszamy
I do zabawy Was zapraszamy...



Rozdział I

ADAM I ZWIERZĘTA



W sennej dolinie na krańcu świata
Stała samotna, zgubiona chata
Strzechą pokryta, dymem szerniona.
W chatce żył Dziad i Baba zgarbiona,
Ona wiekowa i on stareńki,
Oprócz nich cały dom puściuteńki.
Będąc raz w polu szmer usłyszeli,
Podeszli bliżej i coś dojrzeli:
Zza wielkiej wierzby koło strumyka
Rozbrzmiewa ni krzyk, ni to muzyka,
Ni to wołanie, ani to skarga.
Leży człowieczek w kołysce karła.
Karzeł go huśta, śpiewa melodię,
Cicho gaworzy nieboże młode.
Starzec zdziwiony wytrzeszcza oczy,
Jak się nie zerwie, jak nie podskoczy!

Przegonił gnoma, zabrał berbecia,
Pędem do domu z babą poleciał.
Gdy byli w chacie, głos usłyszeli,
Z przejęcia tego aż oniemieli.
To Bóg rzekł do nich: – „A, dam wam syna!”,
Na imię Adam przeto otrzymał.
Rzekł mąż do żony: – Oto nowina,
Mamy nareszcie własnego syna!
Staruszka łzami zlała się cała,
Wszak całe życie wyczekiwała
Na to maleństwo, przepiękne dziecię,
Aby nie byli sami na świecie.
I Bóg wysłuchał starowin modły,
Choć niewygodny dom, nawet podły,
To jednak serca gorące mieli,
Chcieli, by życie ktoś z nimi dzielił,

Przeto kochali syneczka szczerze,
Wychowywali w prawdzie i wierze,
Uczyli malca by kochał Boga,
Że godna wąska i trudna droga,
Ludzi szanował i wiedzę cenił
I aby nigdy się nie odmienił.
– Choć dobrym dobrze jest być z pewnością,
Nie myl dobroci z tą naiwnością
Co dobrych gubi, złych wzmacnia ludzi.
Ten siły mnoży, który się trudzi
I zapamiętaj, co starzec gada,
Że bez korzeni i dąb upada.
Chłopiec dorastał w przepięknym lesie,
A w lesie wieść ta szybko się niesie.
Sowa, wilk szary i lisek rudy,
Znany ze sprytu oraz obłudy,

Postanowiły, że nadszedł czas,
By chłopiec poznał, co to jest las
I tajemnice, jakie on kryje,
Że tylko silny w borze przeżyje,
Lecz dla zabawy nikt tu nie rani,
A kto ukradnie, jest ukarany.



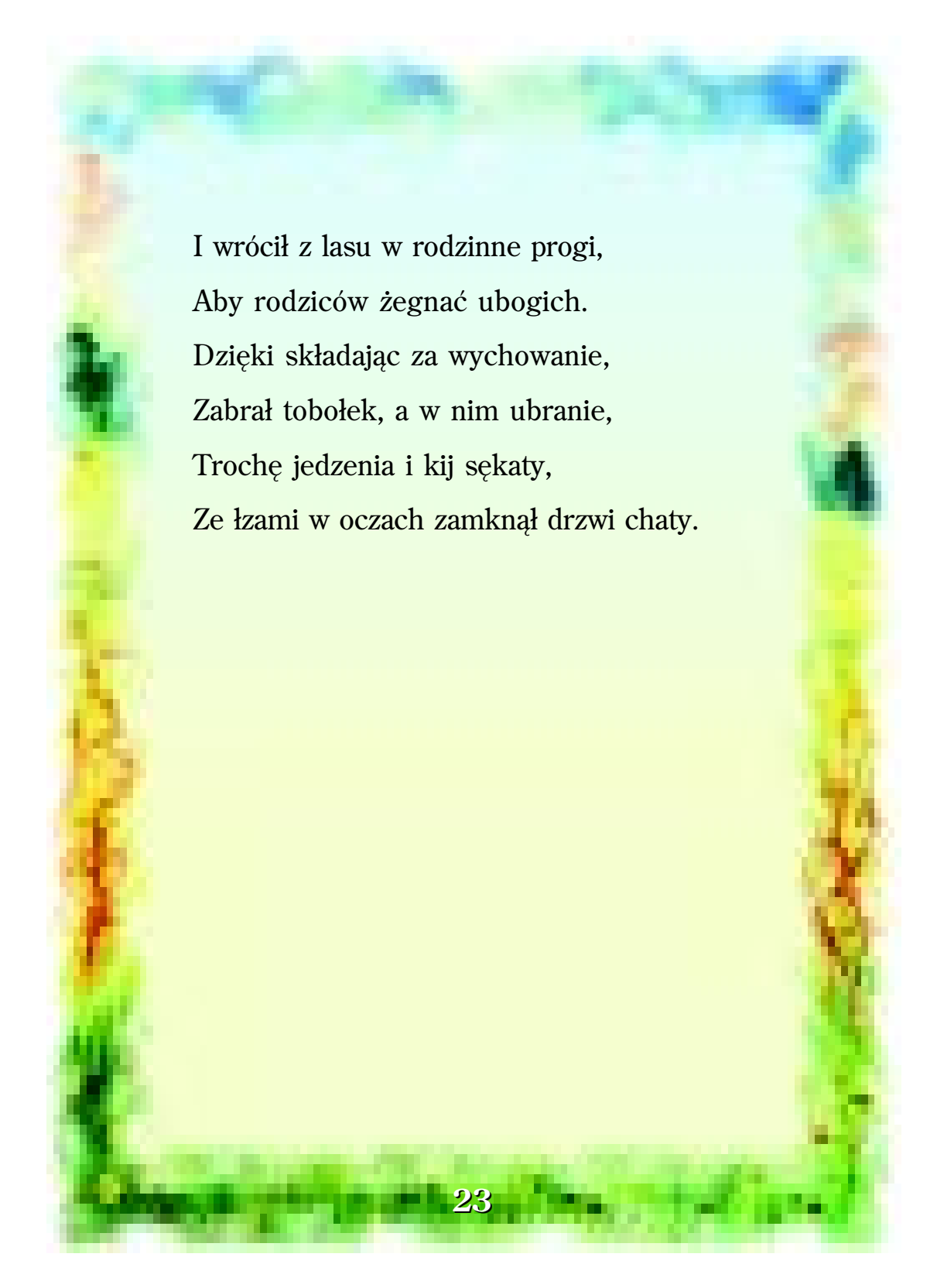
Sowa mądrości uczyć go miała,
Spędzał dnie całe w leśnych annałach.
Poznawał innych istot zwyczaje:
Kto wziąć coś musi, ten coś i daje.

A gdy już chłopiec nabrał mądrości,
Wilk zaczął uczyć go waleczności,
Jak się obronić, jak stawiać czoła,
Gdy sytuacja jest niewesoła.
Raz w mroku nocy poszli na łowy,
Gdy wielki niedźwiedź z pyskiem gotowym,
Kapiącym śliną, zębem błyszczącym,
Zaprażył jakiś deser gorący
Zdobyć na jutro, więc chciał ich złapać,
Lecz nasz bohater przecież nie gapa!
Wlaził na topolę, lecz niedźwiedź goni,
Pomyślał chłopiec, że jest już po nim.
Wtem dziuplę dojrzał i tam się skrył,
Niedźwiedź go gonił, ile miał sił.
Gdy wszedł na górę drapieźnik czarny,
Adam pomyślał: los twój jest marny.

Zlazł, nie zwlekając teraz za wiele,
Podniósł leżącą obok siekiereę
I ścina drzewo, niedźwiedź zaś ryczy:
– Nie chcę tu zginąć w tej leśnej dziczy!
Daruj mi życie – mam dzieciak wiele,
A zawsze będę twym przyjacielem.
Bohater w górę podnosi oczy,
Trochę go niedźwiedź prośbą zaskoczył.
Z wyrazem twarzy mówi niewinnym:
– Żyj sam, niedźwiedziu, i daj życie innym.
Kosmaty ślicznie mu podziękował,
Potem przemówił – rzekł takie słowa:
– Zawsze, gdy będziesz mnie potrzebował,
Zahucz, jak robi to mądra sowa,
Wtedy przybędę i ci pomogę,
A teraz z Bogiem i ruszaj w drogę.

Wilk w chłopcu wzbudził serce waleczne,
By wszelkie trudne i niebezpieczne
Przygody znosił i się nie lękał
I aby dobrze to zapamiętał.
Gdy był już mądry, waleczny, silny,
Przyszedł doń rudy lisek przymilny
I mówi: – Pomóż mi, drogi kumie,
Sam sobie bowiem pomoc nie umiem.
Tu niedaleko, przy zagajniku,
Gdzie rzeczka płynie sobie po cichu,
Przy starej lipie, tuż obok młyna,
Mieszka wspaniała kacza rodzina.
Lecz mama kaczką gdzieś się podziała
I kacza piątka sama została.
Piątka prześlicznych małych kacuzek,
Mięciutka szyjka, pękaty brzusek.

Trzeba się nimi zaopiekować,
W bezpieczne miejsce dobrze je schować,
Aby nie zjadły ich drapieżniki.
Może do norki, gdzie moje smyki?
Tu chłopiec przysiadł, pomyślał chwilę,
I jak nie palnie lisa badylem!
– Ach ty oszuście, ty zbójcu rudy,
Ile podstępu w tobie, obłudy!
Chciałeś kaczuszki zwabić w swe progi,
A potem wybić je co do nogi,
W spiżarni złożyć i mieć na zimę,
Taką twej prośby widzę przyczynę!
I tak nauczył go lisek rudy.
Jak poznać podstęp i moc obłudy.
Wszystkie zwierzęta się ucieszyły,
Bo zdał egzamin uczeń ich miły



I wrócił z lasu w rodzinne progi,
Aby rodziców żegnać ubogich.
Dzięki składając za wychowanie,
Zabrał tobolek, a w nim ubranie,
Trochę jedzenia i kij sękaty,
Ze łzami w oczach zamknął drzwi chaty.

Rozdział II

HURAGAN I MARZENIA



Rano rodzice wstają sflakani:
– Gdzie się podziewa synek kochany?
Ale on dorósł i nabrał lat,
Przeto chciał poznać szeroki świat.
Mgłą ranną jeszcze okryta łąka,
Z nieba dobiega świergot skowronka,
Księżyc horyzont w dali połyka,
Rozbrzmiewa lasu cicha muzyka.
Wychodzą pierwsze słońka promyki,
Zapachem kuszą białe storczyki,
Łąka kwiecona, srebrzona rosą,
A polną ścieżką podąża boso
Chłopiec-wędrowiec, w świat ruszył raźnie,
Idzie w nieznane – ale odważnie,
Choć nie wie, co go tam w dali czeka,
Lecz bardzo pragnie spotkać człowieka

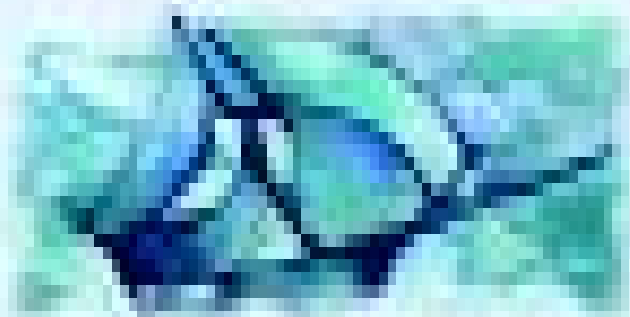
Takiego jak on, nie jak zwierzęta,
Które ze swego lasu pamięta.
Idzie, gdzie polna prowadzi droga,
Gdy nagle widzi – ogromna woda.
Pomyślał sobie podróżnik młody:
Przyszło wypłynąć w szerokie wody.
Wilk go co prawda uczył pływania,
Lecz w małych stawach, nie w oceanach.
Poważna sprawa, lecz zaraz zrobię
Łódkę – w dal siną popłynę sobie.
Patrzy, gdzie stoi przepiękny heban.
Pomyślał: tego drzewa mi trzeba,
Lecz czym je zetnę, jak je wydrążę?
Mymi rękami w sto lat nie zdążę.
Usiadł na trawie zrezygnowany,
Nie on odpłynął w dal, lecz plany.

I wspomni słowa: gdy bieda bdzie,
Wzywaj niedźwiedzia a przyjd wszdzie.
Tak jak przyjaciel mu proponowa,
Hukna, jak robi to mdra sowa.
Długo nie czeka, słyshy co sapie,
Jak zwykle ślina z pyska mu kapie,
Ten zb błyshczcy, dzikie spojrzenie,
– Oto si stawiam na twe życzenie –
Rzek mu kosmaty: – Ja ci pomog,
Powiedz co trzeba i ruszam w drog.
– Drogi niedźwiedziu pły za morze
Jeśli – rzecz jasna – ty mi pomożesz.
Widzisz to czarne drzewo przy drodze?
Leć tam, niedźwiedziu, na jednej nodze.
Najpierw pie zetnij swymi zbami,
A potem wydrap go pazurami...

Niedźwiadek na to: – To nie jest dobre,
Przecież nie jestem zębatym bobrem.
Przewrócił drzewo swymi łapami,
Potem wydrążył je pazurami,
Zepchnął kosmaty łódkę na wodę
I tym chciał skończyć całą przygodę.
Łajba na wodzie chwilę pływała,
Potem jak kaczka zanurkowała.
Nie takiej łódki było im trzeba,
Lecz nie wiedzieli, że twardy heban
Wprawdzie jest piękny, lecz waży krocie
I nie używa się go na łodzie,
Jednak trud misia chłopiec doceniał,
Wszak niedźwiedź nie miał też doświadczenia.
Wspomnieli napis, co szkołę zdobi:
„Ten się nie myli, kto nic nie robi”.

Teraz najłżejsze drzewo wybrali,
Nowiutką łódkę wnet zwodowali.
Gdy już pływała w niebieskiej toni,
Pomyślał niedźwiedź, że nic tu po nim.
Na drogę chłopcu łapą pomachał
I w swe barłogi wolno poczłapał.
Bohater urwał gałązkę z drzewa,
Pomyślał sobie: wiosła mi trzeba.
I ruszył w groźne nieznane prądy,
Aby odkrywać dalekie lądy.
Płynął tak, płynął przez dzionek cały,
Przy łodzi barwne rybki pływały.
Śpiewem dodawał sobie otuchy,
By nie dopadły go morskie duchy.
Przeczytał kiedyś w księdze mądrości,
Że straszny potwór w morzu tym gości,

A jego kolor szary i czarny,
Oddech morowy, wygląd koszmarny.
Wszyscy truchleją, kiedy on gada,
A imię jego Straszny Huragan.



Pomyślał chłopiec: może się uda
Nie spotkać tego czarnego luda?
Kraży legenda pośród żeglarzy,
Że ten przeżyje, kto się odważy
Powalczyć z bestią, a kto się podda,
Tego na wieki pochłonie woda.

Płynął tak, płynął wciąż rozmyślając,
Patrząc na chmury i w nich szukając
Przeróżnych kształtów oraz postaci.
Wielki żaglowiec w górze zobaczył:
Białe ogromne nadyma żagle,
Wtem statek zmienił się w zamek nagle:
Wspaniałe wieże, piękne krużganki,
Biali rycerze stawieni w szranki,
Konie, co pianą białą parskają,
Grzebią kopytem, parą buchają.
Chłopiec z wrażenia oczy przymrużył,
Coś pociemniało jak podczas burzy:
To czarny rycerz na swym rumaku,
Co się w swą zbroję jak w klatkę zakuł
I grzmotnął kopią śnieżysto białą,
Wtem coś zawiało, łódką miotало,

W morzu się wiry wiją okropnie,
Lecz chłopiec walczy dzielnie, choć moknie.
– Ty, Huraganie, ja się nie poddam,
Młodego życia tobie nie oddam
I będę walczył, ile sił starczy.
Huragan prycha, huragan warczy,
Pędzą grzywaczy spienione grzywy,
A nasz bohater już ledwo żywy,
Ale duch jego jest nieugięty,
Nie da się wciągnąć w morskie odmęty.
Workiem, z dna łódki wodę wylewa,
Wiosłem popycha swą łajbę z drzewa.
Huragan widzi, że tu nie wygra.
Chłopiec jest sprytny jak morska wydra.
Na pożegnanie jeszcze gdzieś grzmotnął,
Zabrał ze sobą klęskę sromotną.

Temu niestraszne żadne odmęty,
Kto w słusznej sprawie jest nieugięty.
Tak się bohater walką utrudził,
Że wkrótce zasnął, gdy się obudził
Oczy otwiera, a tu ciemności.
Niepokój w sercu jego zagościł.
Ocean wielki, a on maleńki.
Teraz pozostał sam, samiuteńki.
Co też porabia Babcia i Dziadek,
Co wilk, co niedźwiedź – ojciec swych dziątek?
Tęskni za sową, nawet za lisem.
Ach, żeby chociaż przyśnili mi się!
Miliony gwiazdek, światłem swym chłodnym,
Zwiastować miały ranek pogodny.
Tak jak uczyła go mądra sowa,
Jeden gwiazdozbiór zaczął rysować:

Palcem po wodzie, potem po niebie
I narysował – ot tak dla siebie –
Szczególnie ważny, tak bardzo bliski:
Tego niedźwiedzia z pyskiem obślizgłym,
Kapiącym śliną, zębem błyszczącym,
Co przyjacielem został gorącym.
Patrząc na księżyc co niebo zdoił,
Na gwiazd tysiące, tak postanowił:
Gdy już za wielką wodę przybędę,
Kiedy na Ziemi wszystko zdobędę,
Muszę wyruszyć w gwiazdne przestworza.
Poznawać lądy gwiazdnego morza.
Myśląc – godzinę spędził niejedną,
A tu tymczasem gwiazdy już bledną,
Róż chmur zwiastuje poranek rychły,
Morskie grzywacze dawno ucichły,

Słoneczko pnie się coraz to wyżej,
Już promieniami grzbiety fal liże.
I zaczął kropić złoty deszcz ranny,
Chórem śpiewają syrenie panny.
Chłopiec pomyślał: bardzo tu pięknie,
Co jednak zrobię, gdy łódka pęknie?
Sfatygowana i przemoczona,
Jak nie huragan czas ją pokona.
Trzeba mi szukać suchego lądu,
Jedzenie z worka dawno w żołądku.
Gdy nagle słońce w deszczu zagrało,
Przepiękną drogę mu pokazało.
Każdy, kto widział, teraz zaręczy:
Nic piękniejszego ponad łuk tęczy.
Pomost od łódki aż po horyzont,
Jeszcze nie wierzy, choć oczy widzą.

Pomyślał chłopiec: spróbować muszę!
Wskoczę na tęczę i w drogę ruszę!
Tylko go jedno pytanie dręczy:
Co też na drugim końcu jest tęczy?
Może nieznany, wspaniały świat,
A może pieniek, topór i kat?
Lecz się nie dowie, jak nie spróbuje.
Jak braknie tęczy, to domaluje.
Tak postanowił i ruszył w drogę,
By spotkać nową wielką przygodę.

Rozdział III

KOLORY TĘCZY



I maszeruje Adam po tęczy,
Wędrowka w górę trochę go męczy,
Albowiem czasem co pięknem kusi
Wiele wysiłku wymagać musi.
Lecz nasz podróżnik na trud nie zważa,
Bo zasmakował chłopiec w wożach.
Czas mu upływał na rozmyślaniach,
Na zadawanych sobie pytaniach:
Skoro słoneczko skąpane w złocie
W niebie bryluje w bezbarwnej wodzie,
To czemu tęcza jest kolorowa,
Jaki w tym wszystkim sekret się chowa?
Skoro promyczek słońca jest prosty,
To czemu tęcza jak inne mosty
Wielki łuk tworzy, nie prostą drogę?
Tego wszystkiego pojąć nie mogę.

Lecz ma wędrówka jest przecież po to
Bym znalazł wiedzę cenną jak złoto,
Poznam stan rzeczy, przyrody prawa,
Nauka to jest dobra zabawa.
Był już wysoko, nagle coś słyszy:
Ni to syk węża, ni to pisk myszy.
Przyłożył sobie ucho do brzucha,
Brzuch coś tam mówi, ucho zaś słucha:
– Och! On się tylko skarży tak głośno
I z każdą chwilą skargi te rosną.
Pomyślał chłopiec: najwyższa pora,
Aby wyciągnąć jedzenie z wora,
Ale zapomniał, że zjadł najlepsze,
W worku zostało samo powietrze.
Samym powietrzem trudno jest wyżyć,
Udało mu się do chmurki zbliżyć.

Zahaczył chmurkę kijem sękatym,
Urwał z niej kawał cukrowej waty.
Gdy zdołał pierwszy głód zaspokoić,
Kroplami z tęczy mógł się napoić.
Wyruszył w dalszą drogę przed siebie,
W tę dziwną podróż w błękitnym niebie...
Ale rzecz stała się niesłychana:
Ogromna chmura słońce zasłania.
A gdy ostatni promyczek słońca
Zniknął, to tęcza dobiegła końca.
Spada bohater, och! z wysokości
Tylko dlatego, że przestał gościć
Majestat światła, co w karbach trzyma
Porządek – złego nic się nie ima.
Lecz gdy go braknie, to się odczuje,
Porządek chaos wnet zastępuje.

A chaos lubi niejasne stany,
Tam się zakrada niespodziewany...
Ale powróćmy do bohatera:
Co nasz podróżnik porabia teraz?



On nic nie robi, tylko wciąż leci
Kilometr jeden, drugi i trzeci.
– O rany! Ziemia już bardzo blisko!
Nagle gdzieś z dołu frunie ptaszysko
I spadł na skrzydła wielkiego ptaka.
Widać szczęśliwa gwiazda chłopaka

Nie opuściła jego w potrzebie.
O włos, a znalazłby się znów w niebie...
Ale szczęśliwie z ptakiem lądował,
Skrzydlaty rzecze mu takie słowa:
– Nie próbuj latać, gdy nie masz skrzydeł.
Musisz przestrzegać takich prawideł,
Lecz jeśli bardzo chcesz w niebie latać,
Spróbuj rękami szybciotko machać,
A może zdołasz wzbić się w powietrze,
Chyba, że ty znasz sposoby lepsze?
I ptak już gotów był do odlotu,
Chmury od jego skrzydeł łopotu
W dal odpłynęły, promienie złote
Znów w barwy tęczy zmieniły wodę.
Chłopiec pomyślał: w drogę kolego,
Wszak nie dotarłem do świata tego,

Gdzie tęczy koniec i finał drogi,
Muszę powracać w niebieskie progi.
Lecz jak tam dotrzeć? – Ptaku, zaczekaj!
Zawołał gromko sępa z daleka.
Podniebny lotnik tak na to rzecze:
– Jeśli mam ciebie zabrać człowiecze,
W górę na tęczę, trochę się zmęczone,
Dlatego mowę zagadką zwieńczę.
Jeśli odgadniesz, sukces twój duży,
Jak się nie uda, nici z podróży.
Chłopiec powiedział: – Poczekaj chwilę,
Tylko się trochę jabłkiem posilę.
Zjadł wielkie jabłko z drzewa poznania.
– Właśnie takiego trzeba mi dania.
Mój drogi ptaku, ryzyko muszę
Podjąć, bo w drogę wcale nie ruszę.

Sęp się zasepił i okiem łypnął:
– Zadam ci, chłopcze, zagadkę dziwną.
Słuchaj! Odpowiedz, co to takiego,
Dobrze zastanów się mój kolego:
Choć nie ma płetwy, wypływa w morze,
Nie ma też skrzydeł, a latać może,
Nawet gdy nie jest głodny – zabije
I kala gniazdo, w którym sam żyje?
Pomyślał chłopiec: no to już koniec!
Och! Tajemnicy tej nie odsłonię
Rąbka i wszelki trud mój daremny,
Nici z nadziei na lot przyjemny.
– Dzięki ci, ptaku – było mi miło,
Lecz w tym momencie coś go olśniło!
Wszak płetw on nie miał, a w morzu pływał,
Wysoko w chmurach także przebywał,

Lecz dalej czegoś tu nie rozumie:
Przecież nikogo skrzywdzić nie umie!
A także gniazda swego nie kala,
Ale, chcąc nie chcąc się zadawała
Tą odpowiedzią – mówi do ptaka:
– Jeśli twa wola jest właśnie taka,
Powiem ci – abyś dłużej nie czekał:
Ty masz na myśli chyba człowieka,
Lecz czemu sądzisz, że on pozwala
Krzywdzić i gniazdo swoje też kala?
Ptak odpowiada zmartwionym głosem:
– Jak mniemam, jesteś jeszcze młokosem,
Może za mało w życiu widziałeś,
Ale zagadkę mą rozwiązałeś,
A więc dosiadaj grzbietu mojego,
Lecimy w stronę tęczy, kolego.

Adam lot z sępem miał wyborowy.
Mało nie zwiało mu włosów z głowy.
Krzyczy do niego: powoli ptaku!
Ptak kłapie dziobem: ciszej, chłopaku!
I się zanadto tym nie kłopotaj,
Bo mam licencję superpilota!
Popatrz – te śruby, te piruety...
Lecz chłopiec nie chciał patrzeć, niestety...
Obiema dłońmi oczy przykrywa,
– O...o... niedobrze jest ze mną chyba!
Pomyślał sobie: muszę wysiadać.
Znów będę z nieba na ziemię spadać,
Lecz oto podróż dobiega końca,
Już nad chmurami są blisko słońca.
Wysadził chłopca na tęczy marzeń,
Co będzie dalej, wnet się okaże.

Rozdział IV

WYŚCIG Z ŻÓŁWIEM



C

Chłopiec podziwia kolory tęczy,
Patrzy opodal, mógłby zaręczyć,
Że coś powoli się poruszyło.
Podbiegł – faktycznie, to się zbliżyło.
Pomyślał sobie: coś mi się dłuży,
Pragnę kompana mieć w tej podróży.
Nadzieja chłopcu dodała siły,
Bardzo ucieszył go widok miły.
Biegł bardzo szybko, choć bez obuwia,
Gdy dobiegł patrzy: skorupa żółwia.
Rozczarowanie było ogromne
Bo się rozwiały nadzieje płonne.
Wziął ją do ręki – jak nie podskoczy –
Z głębi skorupy wyrzały oczy,
A potem łapa, druga i trzecia,
Czwarta i cały żółwik wyleciał.

Chłopiec do niego: – Witaj, kolego!
Żółw wrzasnął: – Nie niszczy azyłu mego!
Ty się nie zmieścisz, to mój zaścianek!
Jak ciebie zowią? Ja jestem Janek.
– Nie bój się, bólu tobie nie zadam,
Możesz mi mówić: Wędrowiec Adam.
Gdy już wzajemnie się przedstawili,
Wyruszyć w drogę postanowili,
Lecz kiedy pierwszy zachwyty przemiął,
Chłopiec powiedział z niepewną miną:
– Ja jestem szybki, ty jesteś wolny,
Nie skaczesz przecież jak konik polny,
Ale się wleciesz w swym tempie żółwim,
Tego podróżnik żaden nie lubi,
Więc zabrać ciebie w drogę nie mogę,
A zatem żegnaj, sam ruszam w drogę.

Żółwik zaszlochał rzewnymi łzami:
– Jak bardzo słowo twoje mnie rani –
Rzecz do chłopca: tak między nami
Nie-e myśl stere-o-o-tykami,
Bo żółw jest wolny i ptak jest wolny,
Choć żółw podąża krokiem mozolnym,
Bywa, że wygra i z ptakiem w locie.
Założ się ze mną, a przegrasz krocie.
Chłopiec ze śmiechu za brzuch się złapał:
– Bo nawet gdybym jak kaczka człapał
Lub jak strach skakał, na jednej nodze,
Ty nie wyprzedzisz nigdy mnie w drodze.
Rzekł żółw: – Spróbujmy i stańmy w szranki,
Chyba nie boisz się ze mną walki?
Jeżeli wygrasz, wtedy Bóg z tobą,
Lecz jeśli przegrasz, weźmiesz mnie z sobą.

Start tutaj, meta jest przy rogatkach,
Tam zresztą poznasz złego Gagatka,
A także Maga von Łamignata,
Który wrót chroni innego świata.
Albo ustalmy nieco inaczej,
Niech meta będzie na szczycie raczej!
Zbyt długi wyścig zmęczy twe nogi,
A masz przed sobą jeszcze szmat drogi.
Zatem ruszyli w wyścig po tęczy,
Chłopiec biegł szybko, wkrótce się zmęczył.
Patrzy za siebie: żółwia ni śladu.
Może się potknął, spadł z tęczy na dół?
I żal zrobiło się jemu druha,
Przyłożył ucho do tęczy, słucha.
Słyszy tupanie, głośnie sapanie,
Żółw chce wypełnić swoje zadanie.

Chłopiec pomyślał: zanim tu dotrze,
Ja sobie mogę odpocząć dobrze,
A potem pomknę szybko jak zając,
Żółwia wolnego znów wyprzedzając.



I leżał na trawie w tęczy zieleni,
Patrzył jak kolor cudnie się mieni,
Kiedy wygodnie tak się położył,
Powieki przymknął i sen go zmorzył.
Tupot go zbudził gdy żółw przechodził,
Pomyślał chłopiec: to nic nie szkodzi,

Ja jeszcze zdążę żółwia wyprzedzić,
A więc śpię dalej, po co się biedzić?
Gdy spał tak twardo, śnił sen straszliwy,
Że żółwik wygrał, wstał ledwo żywy,
Zerwał się szybko na równe nogi,
Etap ostatni przebyć tej drogi.
Znowu do tęczy przyłożył ucho,
Bzyknęła mucha – uciekaj mucho!
Kroków nie słyszy, żółwia ni śladu,
Co z rozstrzygnięciem tego zakładu?
Ruszył z impetem strasznym do mety,
Lecz zakład z żółwiem przegrał – niestety.
Żółwik do niego rzecze: – Człowiecze,
Już wygrywałem nie takie mecze!
Raz jeden zając chwalił się strasznie,
No i założył się nieopatrznie,

Że wygra ze mną wyścig – kolego,
Przegrał! Las cały śmieje się z niego.
Kto lekceważy swego rywala,
Najczęściej wygrać jemu pozwala,
Więc zapamiętaj mój drogi druhu,
By nie oceniać po jednym ruchu.
Chłopiec, choć został tak zwyciężony,
To jednak bardzo zadowolony
Był z tego faktu i poweselał,
Bo teraz wreszcie miał przyjaciela.
Zatem żółwika do worka schował
I do rogatek pomaszerował.
Mówi żółw z worka: a teraz mogę,
Dobrych rad parę dać ci na drogę...
Tak rozprawiając, przed się zdążali,
Przepiękny widok kontemplowali,

Mijali ptaki przelatujące,
Adam zapatrzył się prosto w słońce.
Im dłużej patrzył, tym mniej dostrzegał,
A przecież żółwik chłopca ostrzegał:
Słońce widokiem swym fascynuje,
Lecz kto zapatrzyć się nań spróbuje,
Niechybnie traci ostrość widzenia,
Ogląd przesłania mu smuga cienia.
I Adam wspomniał żółwika rady,
Podążał dalej, dodając swady
Sobie śpiewaniem, żółw mu wtórował.
Nagle świat w oczach im zawirował,
Tęcza do dołu się przechyliła,
Tak się wycieczka w niebie skończyła,
Albowiem to, co w górę się wznosi,
Niestety zawsze upadkiem grozi.

Teraz zjeżdżali jak po poręczy
Chłopiec i żółwik – po grzbiecie tęczy.
Gdy tak do dołu szybko sunęli,
Rogatki coraz większe widzieli.
Na łeb, na szyję poupadali,
Wreszcie na dole się zatrzymali.
Nagle żółw z worka głowę wystawia
I wiadomością ból chłopcu sprawia:
– Podążać z tobą było przyjemnie,
Lecz dalej musisz iść już beze mnie,
Bo taka moja rola – kolego,
Abym na tęczy uczył każdego.
Wielu nauki tej potrzebuje,
Każdy mi za nią potem dziękuje.
Słowa żółwika chłopca zmartwiły:
– Chodź ze mną dalej, mój druhu miły!

Na tęczy wileś się jak w ukropie,
Żółwiku, pomyśl więc o urlopie.
Twardziel popatrzył prosto do góry,
Znów złote słońce skryło się w chmury
I tęcza znikła: – Oj moja praca!
Pomyślał Janek: nie mam gdzie wracać,
Zatem się zgadzam – dobrze, kolego,
Jeszcze skorzystam z tobołka twego.
Poszli więc razem w dół do rogatek,
Których strzegł Czarny Mag i Gagatek.

Rozdział V

MAG I GAGATEK



Wąską ścieżynką do baszty idą,
Ich oczom straszny jawi się widok:
Kości bieleją na każdym kroku,
Wielu skazańców już po wyroku,
Aż włosy dęba stają jak druty,
Lecz chłopiec idzie dalej, choć struty.
Głos się dobywa z worka i mówi:
– Czarny Mag bardzo makabrę lubi,
On podróżników najpierw skazuje,
Wyrok gagatek zaś wykonuje.
Tymczasem droga ich prowadziła,
A okolica nie była miła.
Dotarli teraz do Baszty Solnej,
Niesamowitej, bardzo upiornej.
Z prawdziwej soli kamiennej była,
Woda głębokie bruzdy żłobiła,

Wiatr gładko ściany jej polerował,
Kto ją zobaczył, wkrótce żałował.
Są przy rogatkach, wokół nikogo,
Może przesmykną się jakoś droga?
Zaczęli skradać się jak dwa szczury,
Gdy nagle słyszą płynący z góry
Głos jak grzmot gromki, autorytarny.
W oknie właściciel głosu, koszmarny,
Baszty stał Solnej. Mag był odziany
W czarny strój magów inkrustowany.
Skalpami ofiar był obwieszony.
Przy nim Gagatek, tak wystrojony
Jak jakiś trefniś, z toporem w dłoni,
Gdy kogoś złapie, to już jest po nim.
I zbiegł Gagatek do chłopca na dół,
Podróżnik westchnął: – Ach, ziemski padół

Kości me przyjmie, skończą się znoje,
Tu będzie finał wędrówki mojej.
Przed nim Gagatek w pełnym rynsztunku
I znikąd tutaj nie ma ratunku.
Czarnym cuchnącym mchem jest pokryta
Ta okolica – złą mgłą spowita,
Niebo rozrywa straszny krzyk kruka,
A Mag kolejnej ofiary szuka.
I znalazł właśnie, doszli doń ścieżką
Chłopiec ze swoim twardym koleżką.
Oto, gdy stanął przy samej bramie,
Niepewnym głosem rzekł Adam: – Panie!
Otwórz twe wrota, idę z daleka,
Po drugiej stronie świat na mnie czeka.
Ja wiem, że zgładasz wszystkich, co w drodze,
Ale podaruj życie niebodze.

Co też ci przyjdzie z kości mych marnych?
Może straszliwie piękny – koszmary
Sen znów mieć będziesz, lecz czy to warte
Życia mojego przecinać kartę?
Mag głośnym śmiechem nisko basował,
Rehot Gagatka w tym mu wtórował:
– Wszak rozbawiłeś mnie swoją prośbą,
Przeto ochotę mam ja przemożną,
Zadać ci tylko jedno pytanie,
Lecz szybko wymyśl odpowiedź na nie!
Jeśli odpowiesz dobrze – przeżyjesz,
Jak mnie rozgniewasz, to w lochach zgnijesz
Mej Solnej Baszty, albo nie – gratka
Wielka dla mego będzie Gagatka
Na pieńku złożyć głowę bachora,
A potem spuścić ostrze topora,

Ale oszczędzę ciebie, Adamie,
Jeśli odpowiesz na me pytanie.
Dotąd każdego Mag miał w swej władzy,
A więc był pewien, że chłopca zgładzi.
– Teraz odpowiedz, mój podróżniku:
Czy jestem godzien zgładzić cię, smyku?
Chłopiec pomyślał: gdy tak odpowiem,
Nic nie pomoże mej biednej głowie;
Jeśli zaprzeczę, Mag się rozgniewa,
Szyję mą złoży na pieńku drzewa.
– Ty jesteś wielki, a ja mała,
Nie jestem godzien zginąć z twej ręki.
Tak zaskoczyła odpowiedź nagła
Maga, że szczęka jemu wypadła
Do stojącego tuż obok wiadra!
Oj, na honorze Maga to zadra.

Zaczął seplenić: – Mój drogi chłopce,
Odpowiedziałś mi całkiem dobrze,
Bramę otwieram i szybko spadaj,
Casem nikomu nie rozpowiadaj,
Co się zdazyło, bo wstyd to strasny,
Ze psegrał z tobą Mag bardzo wazny.



To mówiąc, wrota otworzył szybko.
Już miał opuścić krainę brzydką
Chłopiec, gdy w worku coś się ruszyło.
Gagatek krzyczy: – Co tam się skryło?

Rozwiąż wórek z woli tyrańca!
Wtem żółw wyskoczył, tańcząc kankana,
I wszyscy, którzy płaszy widzieli,
Stanęli wryci i oniemieli.
Rzekł Mag, gdy pierwszy odzyskał mowę:
– Umowa była na jedną głowę.
Chciałeś osukać, mnie, więc zapłacisz
Moją galerię koci wzbogacisz
Skorupą żółwia, teras uciekaj,
Z życiem usedłeś, więc nie nazekaj.
Na to podróżnik: – To się nie uda,
Albo wypuścisz wraz ze mną żółwia,
Albo opowiem w szerokim świecie,
Że wykiwało cię małe dziecię.
Na to Mag ryknął głosem potwornym:
– Jak śmiesz być, chłopce, takim namolnym?!

Właściwie o co tu kopie kruszyć?
Zabieraj zółwia i mozes ruszyć,
Bo chocias jesteś nieduzym smykiem,
To byłeś godnym mnie pseciwnikiem.
Chłopiec nie czekał dłużej ni chwili,
Aby się jeszcze nie rozmyślili,
A żółwik z worka tak podsumował,
Mimo, że sam się w skorupie schował:
– Gdy górę bierze rozum, odwaga,
Ginie powaga Wielkiego Maga.
Co kiedyś lękiem cię napawało,
Małe i śmieszne zaś się wydało.

Rozdział VI

PSY - BIESY



Straszne rogatki już opuścili:
Chłopiec, a wraz z nim przyjaciel miły.
Tutaj, nareszcie Adama czeka
Kraina, w której spotka człowieka
Takiego jak on, nie jak zwierzęta,
Które ze swego lasu pamięta.
Wtem przekroczyli magiczne wrota,
Po drugiej stronie tajemna grotka.
Wewnątrz niej siedzi człowiek sędziwy,
Siwy pustelnik, lecz ledwo żywy!
Chłopiec doń podszedł: – Co ci potrzeba?
Może chcesz wody, może chcesz chleba?
Pójdę poszukać i ci przyniosę,
U dobrych ludzi o to poproszę.
Na to mu rzecze starzec siwiutki:
– Przynieś mi tylko butelkę wódki,

Abym się trochę mógł rozweselić,
A żyta szkoda, aby je mielić.
Lepiej je całe rozpuścić w wodzie
I pić powoli w porannym chłodzie.
Chłopiec niewiele z tego rozumiał,
Pomóc dziadkowi także nie umiał,
Więc rzucił tylko na pożegnanie:
– Kiepsko wyglądasz, mój drogi Panie,
Źle ci ta dieta robi widocznie,
Sam się przekonaj o tym naocznie!
I zaprowadził go do kałuży.
Starzec, gdy spojrział, bardzo się wzburzył:
– Jak ja wyglądam, mój kochanieńki,
Przecież nie jestem aż tak stareńki!
Oto, co wódka zrobiła ze mnie,
Wszak patrzeć na mnie nie jest przyjemnie.

Proszę cię bardzo, mój zbawco młody,
Przynieś mi trochę chleba i wody.
Albo sam lepiej po to wyruszę,
Bo zmienić wszystko w swym życiu muszę.
Tyś wzbudził serca mojego bicie,
Gdyś mi pokazał moje odbicie.
Wcześniej dostrzegać tego nie chciałem,
Że tutaj żywcem się pogrzebałem.
Z wdzięczności wielki sekret ci zdradzę,
Który ci moc da i wielką władzę.
Ja, chociaż dobrze o nim wiedziałem,
Swą wielką szansę tu pogrzebałem.
Ty jesteś młody, masz więcej siły,
Nim w drogę ruszysz, powiem ci, miły:
Gdybyś w opałach znalazł się kiedy,
Jeślibyś zaznał wszelakiej biedy,

Słowa te sprawią, chłopcze kochany,
Że zawsze będziesz niepokonany.
– Teraz się pochyl – chłopcu poradził,
Szeptając, sekret tajemny zdradził...
Chłopiec się zdziwił, potem zamyślił,
Obraz na jawie jakby się przyśnił:
Jest wielkim królem, siedzi na tronie,
W drogich, szlachetnych kamieniach tonie,
Służba się wokół niego uwija,
Czas na rozrywkach pustych mu mija.
Nagle żółw wyrwał go z tych fantazji:
– Powiedz, co szepnął tobie ten Starzyk?
Chłopiec pomyślał: po co mam zdradzać
Sekret, niech moja zostanie władza.
Mówi do Janka: – Ach, nic takiego,
Ruszajmy lepiej w drogę, kolego!

I wyszli z cienia kamiennej groty,
Aby poszukać nowej przygody.
Taka natura jest podróżnika,
Że za czymś goni, przed czymś umyka.
Przeto zmierzali przez miedze polne,
Jezior mierzeje, użytki rolne.
Słońce i księżyc w tańcu odwiecznym
Towarzyszyły swym podopiecznym.
Po drodze weszli gdzieś w gęste chaszczce.
Nagle ich oczom jawią się paszcze –
Dwie przeogromne, czelustne, straszne,
Ze snów najgorszych, maskarne paszcze.
Lecz chłopiec z żółwiem zaprawę mieli,
Nie takie rzeczy w życiu widzieli!
Kiedy podeszli już całkiem blisko,
Ze środka paszczy wyjrzało psisko.

I z drugiej rzeźby-paszczy wygląda
Pies-bies, spode łba groźnie spogląda.
Jeden i drugi na chłopca warczy,
A warczą głośno – ile sił starczy.
Oba skoczyły nagle na niego,
Lecz on ma w worku żółwika swego.
Z całych sił zaczął okręcać workiem,
Jak kijem macha ciężkim tobołkiem,
Palnął jednego, potem drugiego,
Z głośnym skowytem zbiegły za drzewo.
Chłopiec zagląda do rzeźby – paszczy,
Oczy wytrzeszczył i coś wytaszczył.
Był tam żelazny klucz oraz złoty.
Czy wielkie skarby, czy też kłopoty
Klucze przyniosą? – myśli bohater,
A psy tymczasem wskoczyły na pień

I ludzkim głosem rzekły te słowa:
– Wojownik z ciebie jest wyborowy!
Przeto żeś godzien klucze te zdobyć,
Wnet ci powiemy, co z nimi zrobić!
Patrz! – nieopodal za lasu ścianą
Ogromny Zamek niegdyś tam stanął,
A wokół niego miasto jak morze,
A przy nim pola złożone zbożem.
W zamczysku rządzi Cesarz satrapa,
Co zwie się Panem Całego Świata.
My zaś strzeżemy resztek majątku,
Który był kiedyś wzorem porządku
I powodzenia – szczęścia wszelkiego
Własność to była Człeka Dobrego,
Lecz wszystkich wokół satrapa nękał,
Cesarz krwi wiele miał na swych rękach

I kiedy człek ów mu się sprzeciwił,
Wkrótce się znalazł wśród już nieżywych.
Potem wyburzył majątek jego
I tak powiedział: Zniszczę każdego,
Kto się nie podda moim rozkazom,
Nie puszcę płazem żadnym obrazom!
Wszyscy ze strachu drżą w całym mieście:
Ach! Kiedy do nas przyjdzie nareszcie
Nasz wybawiciel tęskno czekany,
Od dawien dawna przepowiadany...?!
Zdziwiony słucha, co Biesy prawią,
I nie wie chłopiec, za czyją sprawą
Jemu przypadła wybawcy rola?
Lecz cóż ma zrobić, taka to dola!
Kiedy wyruszał ze swojej chaty,
Nie zastanawiał się wtedy nad tym,

Jak jego dalsze losy się ziszcą –
Czy zahartują go, czy też zniszczą?
Sam sobie dotąd drogę wybierał,
Lecz najważniejszą decyzję teraz
Podjąć on musi, strapiony bardzo,
Ale pomyślał: tchórzami gardzą,
A więc się znowu muszę odważyć
I na przygody nowe poważić.
Mówi do biesów: – Opowiadajcie,
Wszystkie wskazówki teraz mi dajcie!
– Mój kompan zaraz ciebie pouczy
Powie do czego użyjesz kluczy!
– W zgniłych podziemiach satrapa więzi
Lud, który bardzo satrapę mierzył,
Bo nie chciał poddać się jego woli...
I dość miał Cesarz ludu swawoli.

Z owych podziemi drzwi wiedzie dwoje,
A do ich zamków dwa klucze twoje.
Pierwszy, żelazny, do niewolników.
Złoty do dusz jest tych nieszczęśników,
Którzy poddali się jego woli,
Wprawdzie nie cierpią katorgi, znoi,
Ale i oni są dziś w potrzebie,
Bo zniewolone w tym sztucznym niebie
Ich dusze krążą, ciała się łudzą,
Że są wolnymi, bo Panu służą.
Kiedy otworzysz drzwi tych oboje,
Dusze odnajdą powłoki swoje.
Tak się połączą i z niewolników
Uczynisz wolnych – ty, podróżniku.
Jednak na twojej drodze do męstwa,
Czyhają różne niebezpieczeństwa,

Sam musisz sobie z nimi poradzić,
Tak, aby Cesarz nie mógł cię zgładzić.
Nagle, żółw łąpek z worka wystawia:
– Zaczyna nużyć mnie ta rozprawa.
Bo ty się z psami żegnasz i witasz,
A mnie o zdanie się nie zapytasz?
Muszę na tęczę moją powracać,
Bo czeka na mnie tam ważna praca.
Chłopiec do niego mówi: – Kolego,
Wszak nie zostawisz mnie tu samego,
Przecież ci w worku nie jest najgorzej,
Jak będzie trzeba, to mi pomożesz
I lubię z tobą filozofować,
A potem znowu do worka schować.
Żółw chłopca także bardzo polubił
I przez przekorę słowa te mówił,

Dlatego odrzekł: – Wszak żartowałem,
Nie po to w worku twym się schowałem,
Aby zostawić cię w środku drogi,
Na łasce losu – kompanie drogi,



Więc razem dalej ruszajmy w drogę!
Młodzian zarzucił worek jak togę,
Schował do niego dwa dziwne klucze.
Pomyślał sobie: gdzie ja się włóczyć?
Za się odwrócił i psy pożegnał
I tylko myśl go gnębiła jedna:

Odkąd przekroczył progi domowe,
Ciągłe naraża swą biedną głowę.
Przypomniął sobie, co rzekł mu Starzyk,
Znowu o wielkiej władzy zamarzył.
Wspomniał przysłowie: „raz śmierć jest kozie”,
Nie utopiłem się w wielkiej wodzie,
Niestraszna była podniebna kładka,
Nic mi nie zrobił topór Gagatka,
Na razie szczęście mnie nie omija,
Czego dowodem wraz z głową szyja.
Nagle krzyk wyrwał go z rozmyślenia!
Z jego tobołka coś się wyłania.
Żółw mówi: – Klucze zawieś na szyję,
Tak mnie tu gniotą, że ledwo żyję.
Chłopiec na szyi klucze zawiesił,
By żółw wygodę miał i się cieszył.

I tak zdążali przez łąki, pola,
A urodzajna to była rola,
Zbożem okryta jak człek pierzyną,
Miodem i mlekiem była krainą,
Opływającą we wszelkie dobra.
Chłopiec pomyślał: o, głowa mądra
Władać tu musi. Patrzy opodal:
Stoi przy drodze duża gospoda.
– Dobrze się stało, bo już się zmierzcha,
Rzecz do niego twardy koleżka:
– Chodź, dzisiaj tutaj przenocujemy,
A jutro w dalszą drogę pójdziemy.
Na progu wita ich karczmarz tłusty,
Który w wymowie był złotousty.
Rzekł: – Imć Panowie, dokąd zdążacie?
Tutaj najlepsze wygody macie,

Spocznijcie na noc, boście strudzeni
Waszą wędrówką i wygłodzeni!
Ja wam dostarczę jadła i łoża,
Ma połowica piękna i hoża,
Wina i pieśni nie pożałuje,
Kto raz spróbuje, ten zasmakuje!
Chłopiec był bardzo kontent, że wreszcie
Może się przespać na łożu w mieście.
Rzekł do karczmarza: – Tu odpocniemy,
W gospodzie na noc pozostaniemy.
Tłusty gospodarz ręce zaciera
I w duchu myśli: mam ja was teraz!
Najpierw młodziana winem swym spiję,
Potem zarzucę mu sznur na szyję
I już tobołek jego mój będzie,
Wszak z samej karczmy cienko się przedzie.

Z czegoś żyć trzeba – próżny frasunek,
Ze dwojga złego lepszy rabunek.
I gdy tak w myślach knuł plany swoje,
Żółw Adamowi szepcze: – My dwoje
Musimy szybko uciekać z karczmy,
Powiem ci tylko i to wystarczy,
Że umiem czytać w myślach u ludzi,
A karczmarz ani myśli cię zbudzić,
Raczej zarzuci ci sznur na szyję,
Weźmie tobolek i już nie żyjesz!
Chłopiec nie zdradził się ani ruchem,
Wiadomo przecież, że był on zuchem.
Woła karczmarza gromko do siebie:
– Szukaj nam łoże, bośmy w potrzebie.
– Już jest, mój Panie, łóżko gotowe,
Będziesz miał w łożu sny kolorowe.

Z radości włosy gładzi na głowie,
A w duchu myśli: już jest po tobie!
Będąc w sypialni, Adam z żółwikiem
Myślą jak stoczyć bój z przeciwnikiem.
I gdy strategię już ustalili,
Do łóżek legli, świece zgasili.
Wtem na zegarze północ wybiła,
Jak zjawa, co się w strasznym śnie śniła,
Idzie na górę karczmarz, a lina
Z ramienia zwisa, w rękę zaś trzyma
Wytrych ogromny, by drzwi otworzyć,
Potem sznur chłopcu na szyję włożyć.
Drzwi tak otworzył, by nie skrzypiały.
Hol pograżony w ciemnościach cały.
Z liną podąża wprost do chłopczyka,
Już ma go prawie, lecz się potyka

I z całej siły zwała na ziemię,
Bo Adam przecież nie bity w ciemę
Był i z żółwikiem plan obmyślili,
Zasadzkę mądrą razem zrobili:
Adam za łóżko dobrze się schował,
Janek przy progu wartę sprawował,
I kiedy kroki złe usłyszeli,
Jak na komendę działać zaczęli...
Teraz gdy karczmarz leżał jak bela,
Znow się zabrali razem do dzieła,
Szybko tobołek swój spakowali,
Z karczmy uciekli i poszli dalej.

Rozdział VII

ŚWIŃSKIE ŁOWY



C

Chłodem powitał ich ranek mglisty,
Nagle zagrały im marsza kiszki.
– Jeśli jedzenia dziś nie znajdziemy,
To wkrótce pewnie z głodu padniemy.
Lecz oto czują dymek z komina,
W usta spłynęła strumieniem ślina,
Jak brzytwa ostry był ich apetyt,
Ale jedzenia dalej, niestety,
Nie ma i trzeba szukać polany,
Skąd pyszny dymek nozdrza ich ranił.
Patrzą, pod lasem stoi chacina,
Dach od ciężaru wieku się zgina,
A na podwórku chlapią się świnię.
– Niechybnie uczta nas tu nie minie!
Ale wokoło żywego ducha.
Chłopiec przystanął i chwilę słucha.

Dochodzi głośne świnek chrząkanie.
Pomyślał tylko: to będzie danie!
Do żółwia mówi: – Tyś szybki taki,
Więc wyłaż z worka i łap prosiaki.
Chociaż Jankowi pomysł niemiły,
Wyskoczył z worka, ile miał siły,
Pognał za tłustym wieprzem opodał,
Już miał go złapać, wieprz gazu dodał
I tak ganiali się przez godzinę,
W kozi róg spędził prosiak żółwinę.
Chłopiec doń krzyknął: – On cię zamęczy!
Pamiętasz wyścig na grzbiecie tęczy?
Wyływa z niego prosta nauka:
Musisz innego sposobu szukać,
Bo czasem trzeba, mój druhu miły,
Sprytu, a czasem po prostu siły.

Patrz tylko na mnie, ja ci pokażę,
Przepyszną zupę z wieprza uwarzę!
I zaczął gonić chrząkającego
Właśnie miał złapać za ogon jego,
Gdy ten zakwiczał, zmienił kierunek,
Biegnie gdzie chlewik – jego ratunek,
Lecz chłopiec dalej szczęścia próbuje,
W myślach szyneczkę z wieprza testuje.
Próbuje łapać knura za szyję,
Ten jest zmęczony, ledwo co żyje
I już go chłopiec trzyma w uścisku,
Łzy śwince ciekną po brudnym pysku.
Adam to dojrzał i się zawahał:
Nigdy nie widział, aby wieprz płakał.
Uścisk rozluźnił, wieprz na to czekał,
Ogonem długim chlasnął człowieka,

A ten jak kłoda w kałużę runął,
Na pożegnanie wieprz chrząknął, splunął,
Do chlewa pobiegł czym prędzej drogą
I szynkę z wieprza zabrał ze sobą.
Żółw, który bacznie to obserwował,
Ze śmiechu prawie się rozchorował:
– „Mistrzowski pokaz” – twe świńskie łowy,
Lecz cóż – jedzenie mamy już z głowy!
Zrezygnowani głowy zwiesili
Czym prędzej w dalszą podróż ruszyli.
Nagle, ktoś otwarł drzwi w starej chacie:
– Czego wy chcecie, kogo szukacie?
Zadał niepewnym głosem pytanie
– Głodni jesteśmy, więc jakieś danie
Chcieliśmy złapać, aby głód zabić,
Daremne trudy, daj choć się napić,

Bowiem jesteśmy bardzo spragnieni,
Pozwól odpocząć w chaty twej sieni.
Tubylec, gdy się trochę upewnił,
Że są to tylko wędrowcy biedni,
Zza drzwi wychylił głowę kosmata,
W nią się podrapał i tak rzekł na to:
Gościny mojej wam nie odmówię,
Mimo, że obcych nie bardzo lubię
I chociaż razem ze swym kolegą,
Chcieliście złapać prosiaczka mego,
To wam wybaczę, boście tu obcy...
Nagle z chałupy wybiegli chłopcy,
W głąb chaty ciągną gości strudzonych,
A chłop tak rzecze do swojej żony:
– Szykuj nam miła, gorącej strawy,
Wszak los był dla nas dzisiaj łaskawy,

Bo już myślałem, że oto bieży,
Szpica oddziału czarnych rycerzy.
Co rusz to chatę naszą rabują
I biorą wszystko, co potrzebują,
Kto się zaś owym wojom sprzeciwi,
Wkrótce dołącza do już nieżywych.
A wszystko to się tutaj wydarza,
Za sprawą Pana Świata Cesarza.
On trzyma lud swój twardą prawicą,
Mami poddanych tą obietnicą,
Że gdy już wszystkie zjednoczy ludy,
To się zakończą wszelakie trudy
I żyć będziemy w rajskiej krainie,
A sława jego nigdy nie minie.
Lecz nie takiego raj u nam trzeba,
Nigdy nie będzie na ziemi nieba,

Ogień się wodą gasi, nie lodem...
My przymieramy przez niego głodem,
Choć wokół pola dostatnie, syte,
Wszystkie te kąski tak znakomite,
Zawłaszcza sobie Cesarz Pan Świata
I tak po roku mijają lata,
A my wierzymy, że przyjdzie kiedy
Wybawca, co nas wyrwie z tej biedy.
Tak czytaliśmy w prastarych księgach,
A przepowiednia to jest potęga.
Mówią, że przyjdzie młodzian z kluczami,
Który potrafi rozmawiać z psami,
Wyzwoli ludzi z Cesarza mocy,
Takو powiada przekaz proroczy.
Gdy chłopiec słuchał, rozdziawiał buzię:
Tak jakby o nim mówili ludzie...

I nagle poczuł, dopiero teraz,
Że coś go strasznie w szyję uwiera.
Zdjął więc z niej rzemień, a wraz z nim klucze,
Chłop ze zdziwienia zaczął coś mrużyć:
– Jeden żelazny, drugi klucz złoty!
Kim są te obce, dziwne istoty,
Które dotarły do chaty jego?
Kim jest ten chłopiec ze swym kolegą?



Gdy podróżnicy dobrze podjedli,
Bardzo znużeni na łoża legli,

A kiedy siły już im wróciły,
Rzekł takie słowa gospodarz miły:
– W drogę ruszajcie, w was jest nadzieja!
Gdy pożegnali już dobrodzieja,
Przed siebie poszli do Zamku wieży,
Fortecy Pana czarnych rycerzy.
Z dala już widzą kamienne mury,
Wysokie wieże pną się do góry,
Tną chmury ostrym czarnym sztandarem,
A na sztandarze złotych gwiazd parę.
Na murach stoją zbrojni Wojowie,
Każdy hełm straszny ma na swej głowie
Z dwoma rogami i czaszką gołą.
Nie wyglądało to za wesoło.
Lecz chociaż Zamek wielki strach budził,
Przy wrotach stały kolumny ludzi.

Jak chłopiec mieli worki na plecach,
Strażnik dobywał z za pasa miecza
I każdy worek tym mieczem badał,
Węzeł przecinał, z worka wypadał
Cały dobytek – Woj brał, co zechciał.
Adam pomyślał: jakby to pech chciał,
Mam w worku tylko żółwika mego,
Nie chcę rozstawać się z mym kolegą.
Lecz zdołał świetny fortel wymyślić,
Lepszy by nawet nie mógł się przyśnić:
Najpierw na piersiach Janka położył,
Potem sznur z worka nad nim przełożył,
Sprawnie zawiązał na supły zwoje,
Dumny był bardzo ze zbroi swojej,
Posiadł rynsztunek godny rycerza,
Miał na swych piersiach puklerz pancerza.

Mówi do Janka: – Mój druhu wierny,
Od dzisiaj będziesz żółwiem pancernym.
Żółw był nie bardzo zadowolony:
– Gdy opuściłem rodzinne strony,
Po drodze cierpię trudy i znoje,
Patrz, teraz muszę robić za zbroję!
– Mój przyjacielu, wszak nie narzekaj,
Przed nami jeszcze droga daleka,
A więc nie sarkaj, włącz do skorupy,
Bo nie ma czasu na twe wygłupy,
Zwłaszcza, że idzie strażnik ponury...
Wielki był, zerka na chłopca z góry,
Lecz Adam patrzy nań nie złękniomy.
Nagle ktoś woła od kładki strony –
Starzyk, którego spotkał przy grocie
I go wybawił, gdy był w kłopotcie.

Macha doń ręką, z daleka woła,
Mina na twarzy bardzo wesola,
Włos przyczesany, do chłopca rzecze:
– Miło cię widzieć, młody człowiecze,
Zobacz, me życie się odmieniło,
Ale sumienie ciągle dręczyło,
Że ja ci sekret swój powierzyłem,
Choć sam się na nim srogo sparzyłem.
A więc cię proszę, zapomnij o tym,
Zanim się wpędzisz w wielkie kłopoty!
Zmartwiło chłopca, co rzekł mu Starzyk,
Wszak przecież kiedyś o władzy marzył,
Ale nie myślał o tym już dłużej,
Bo coś się działo przy baszty murze.
Starzyk pożegnał się i oddalił,
Nagle młodziana płomień osmalił,

Jak z paszczy smoka podmuch gorący.
Patrzy, to pojazd był latający.
Stanął jak wryty, zdziwiony taki,
Myślał, że w niebie to tylko ptaki
Latać potrafią, a tu te rzeczy,
Szaro-stalowy dysk w górze leci!
I westchnął cicho: – Oto kraina,
Dokąd zmierzałem, tu się zaczyna
Źródło poznania, tu jest nauka,
To właśnie tego od dawna szukam.
Mówią, że tyran rządzi tym krajem,
Chyba się ludziom tylko tak zdaje,
Dlatego powiem zupełnie szczerze:
Ja tym potwarzom wcale nie wierzę,
A że panuje tu dyscyplina,
Widać tak sukces się rozpoczyna.

Żółw ze skorupy łepiek wystawia:

– Zaczyna nudzić mnie twa rozprawa,
Daj się choć zdrzemnąć, jestem zmęczony,
Szarpałeś workiem na wszystkie strony...

Nagle bohater pomyślał: rety!

W worku niczego nie mam, niestety.

Strażnik zapyta: Gdzie twoje mienie?

To podejrzane, więc wziął kamienie,

Do worka włożył, idzie gdzie wrota,

Drogę mu grodzi strażnika kopia.

– Stój! I wywalaj, co masz w tym worze,

Jak nie, to kompan mój ci pomoże.

Chłopiec nie czekał dłużej ni chwili,

Gdy wór wypróżnił, to się zdziwili.

Patrzą strażnicy na dół, na ziemię:

Z worka wypadły same kamienie.

– Wpuście do środka, jestem strudzony,
Niosę kamienie dla wuja żony,
A ona robi z nich pyszne bułki,
Mają piekarnię z wujem do spółki...
Śmieją się ludzie z całego tłumu,
Mówią: wszak chłopiec nie ma rozumu!
Groźnych strażników to rozbawiło:
– Rozmawiać z tobą było nam miło.
Zabieraj swoje bułki, kolego,
Życzymy tobie jadła pysznego.
Gdy strach już minął, konkluzja przysłała,
Adam tak sobie teraz pomyślał:
Że kiedy idzie się na całego,
Czasami lepiej udać głupiego.
Oto, jak dotarł chłopiec ubogi
W wielkiego miasta, wysokie progi.

Rozdział VIII

NA ZAMKU



Dziedziniec chłopca powitał gwarem,
Stragany kłują w oczy towarem:
Ten ma owoce, tamten dywany,
Wszędzie się kłębi tłum nieprzebrany.
Adam niebieskie oczy przymrużył,
Pierwszy raz bowiem w swojej podróży
Zobaczył na raz tyle różności,
Wszak nigdy w mieście takim nie gościł.
Żółwika także harmider męczy:
– Lepiej mi było na grzbiecie tęczy,
A teraz muszę za pancerz robić
I tors twój twardą skorupą zdobić.
– Mówię: żółwiku, nie drocz się ze mną,
Będziemy mieli drogę przyjemną,
A jak nie skończysz się ze mną kłócić,
To będziesz musiał na tęczę wrócić.

– No, nie bądź taki – żółwik przekorny
Dobrucha chłopca – choć jestem wolny,
Wolę pozostać z tobą w podróży,
Przynajmniej czas mi się tu nie dłuży.
Po małej sprzeczce doszli do zgody,
U drzwi stanęli starej gospody.
Karczma ta była mroczna, wilgotna,
Czereda w środku bardzo markotna.
Przez małe okno snop światła wpadał,
A stary Cygan przy stole gadał
I opowiadał o dawnych czasach,
Kiedy Cyganie mieszkali w lasach,
Wielbili drzewa, powiew wieczorów,
Poranne zorze pełne kolorów,
Aż wyszedł edykt Cesarza Świata,
Że i w Cyganie widzi on brata,

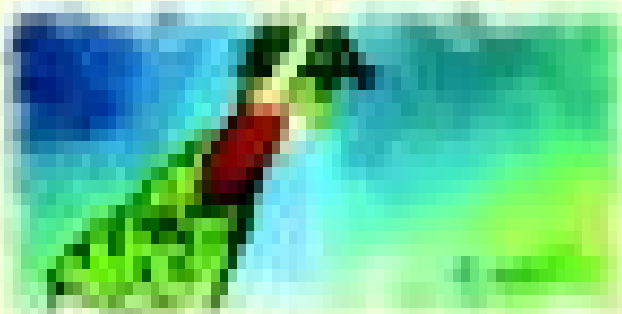
Dlatego wszyscy ludzie tej nacji
Podlegać będą ideokracji.
Mają zamieszkać na stałe w mieście
I wieść porządne życie nareszcie.
Gdy Rom tak prawił, wszyscy słuchali,
Kufle do ust swych poprzykładali,
Sączyli piwo wraz ze swym smutkiem,
Po cichu nucąc pieśni tej nutkę:
– „Ach kolorowe nasze tabory,
Mroźne poranki, ciepłe wieczory,
Nieokiełznanej wolności czasy,
Domem nam były łąki i lasy...”
Adama pieśń ta bardzo zdziwiła:
W mieście potęga, w mieście jest siła
I latające pojazdy wreszcie
Pierwszy raz w życiu zobaczył w mieście.

Rzekł więc do Romów: – Ciszej śpiewajcie!
A do szynkarki: – Strawy nam dajcie!
Jesteśmy drogą bardzo strudzeni!
Cygani zmilkli wielce zdziwieni..
Kto śmie uciszać ich opowieści,
Kto nie chce słuchać tych pięknych pieśni?
Rom jeden, bardzo już podchmielony,
Wyjął zza pasa nóż zakrzywiony
I chciał uderzyć nieznajomego,
Ale cios jego był do niczego,
Albowiem chłopca chroniła twarda
Żółwika jego skorupy garda.
Krzyczą Romowie: – Cóżś uczynił,
Czy obcy zło ci jakieś zawinił?
I zaprosili chłopca do stołu,
Kolację zjedli wszyscy do społu.

Żółwik Adama był taki zdolny,
Że zjadł ją pierwszy, choć był powolny.
Chłopiec zachęca: – Drodzy Romowie,
Swoją historię wam tu opowiem.
I snuł opowieść o starej chacie,
O leśnych zwierzach, niedźwiedziu – bracie,
Potem jak mały żółw niepozorny
Wygrał na tęczy wyścig mozolny,
Jeszcze o grozie Wielkiego Maga,
Wreszcie co Pies-Bies jemu powiadał.
Romowie tylko głową kiwali:
– Ty chyba nerwy masz jak ze stali,
Przyłącz się do nas, prosimy, dzisiaj.
Wtem klucz dostrzegli, co z szyi zwisał.
Oczy błysnęły im jak talary:
– Czy to te klucze dał ci Bies stary?

To o nich dawne podania prawią,
Że w dobrych rękach wszystkich nas zbawią!
Chłopiec pomyślał: co tu jest grane,
Może naprawdę jest mi to dane,
Abym dokonał czegoś wielkiego?!
Rzekł do żółwika: – W drogę, kolego!
Uściskiem dłoni Romów pożegnał
Kontent, że nowych przyjaciół zjednał.
Drzwi za nim zamknął syn oberżysty.
Chłodem powitał ich wieczór mglisty.
Kap, kap kapały krople na strzechach.
– Drogi żółwiku, w tobie pociecha!
Położył sobie Janka na głowę
No i schronienie ma już gotowe.
Żółwik zaś krzyczy, jak zwykle głośno:
– Znowu mą podróż czynisz nieznośną!

Najpierw tworzyłem twej zbroi fason,
A teraz robisz ze mnie parasol!
– Nie krzycz, lecz wystaw łapy i szyję,
Deszcz ciepły członki twoje obmyje.



– Na tęczy miałem warunki lepsze!
Wtem grzmot potworny rozciął powietrze
I błyskawica jak żmii język
Złapała basztę w ogniste więzy.
Krwawe płomienie pną się do góry,
Kłębią się dymu duszące chmury.

Patrzą – na baszty wysokim szczycie
Piękna dziewczyna walczy o życie.
Adam nie wahał się ani chwili,
Dziewczyna płacze, dziewczyna kwili,
Znikąd ratunku, znikąd pomocy,
W blasku płomieni niknie mrok nocy.
Skoczył bohater jak łania chyża,
Z wielkim mozołem na szczyt się zbliża,
Jak pajak pnie się po baszty ścianie.
Ognia jęczory! Nie zważa na nie.
Czasami noga mu się osunie,
Lecz równowagę zachować umie.
Ale wołanie ucichło nagle.
Pomyślał chłopiec: ognisty diable,
Ja wyrwę z twojej paszczy dziewczynę...
Ale niepewną Adam miał minę.

Był krok od szczytu, lecz słaby siły,
Płomienie ciało mu osmałyły.
Jednak ostatnim, nadludzkim krokiem,
Uciekł przed ognia strasznym wyrokiem.
Szuka dziewczyny na baszty górze,
Dym mu nie pachnie jak polne róże,
Wgryza się w nozdrza i oczy drażni,
Lecz wygrywają tylko odważni.
Tak myśli w duchu i nie ustaje
Szukać dziewczyny, nagle się zdaje,
Że nogą trącił postać leżącą.
Podniósł niewiastę ledwo żyjącą,
Lecz jak tu uciec z pułapki owej,
Jak uratować swą biedną głowę
I śliczną główkę pięknej dziewczoi,
Aby szczęśliwy finał był znoi?

Żółw nie marnował też głowy swojej:

– Przyjaciel walczy, a ja tu stoję.

I chociaż mózdzek miał raczej mały,

To wpadł na pomysł ten doskonały,

Aby do worka kamień wytaszczyć,

A potem wrzucić go na szczyt baszty.

Ambitny zamiar zrealizował,

Kamień niemały do worka schował,

Wziął wielki zamach i plan się udał...

Czasem zdarzają się w życiu cuda.

Adam domyślił się w mgnieniu oka,

Że nędzny worek to jest opoka,

Sposób ucieczki, skąd ogień gore.

Jako spadochron posłużył worek.

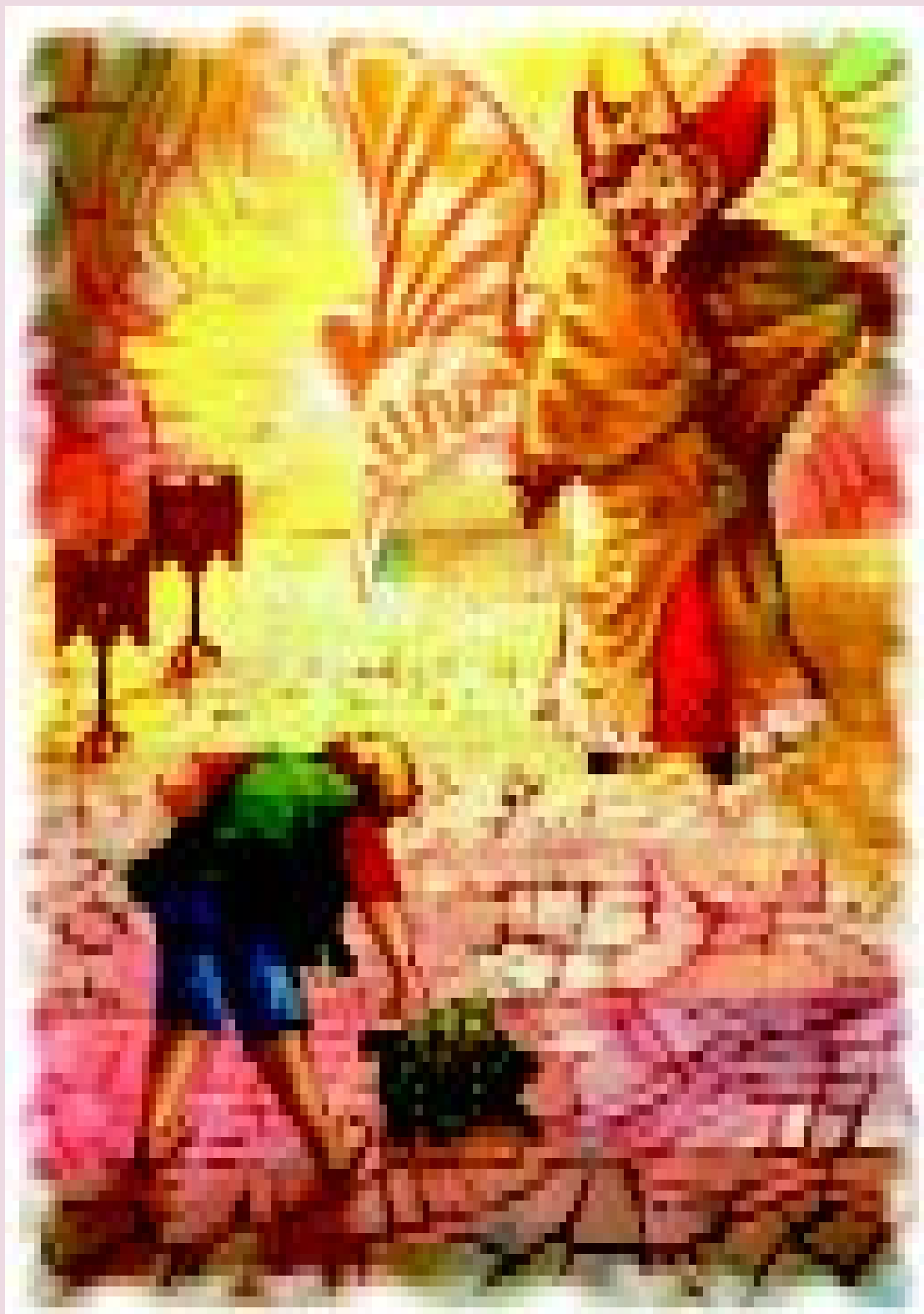
Chwycił za koniec jego wylotu,

Ten się nadymał podczas ich lotu

W ogromną czasę i już przy ziemi
Pękł i w podartą szmatę się zmienił.
Żółwik na niego krzyczy, wzburzony:
– W czym w dalszej drodze będę noszony?!
Lecz chłopiec teraz tego nie słucha,
Musi dziewczynie przywrócić ducha.
Niestety, wszelkie trudy daremne,
Chłopiec opuszcza oczy łez pełne,
Łza perłą spadła na twarz dziewczyny,
Co będzie dalej, wnet zobaczymy.

Rozdział IX

PAN ŚWIATA



Jak pierwsza kropla łzy na nią spadła,
To nastąpiła odmiana nagle:
Dziewczyna oczy modre otwarła,
Na rękach chłopca głowę oparła
I słabym głosem szepcze te słowa,
Ledwo słyszalna była jej mowa:
– Już byłam w piekiel otchłani nocy,
A tyś mnie wyrwał z płomieni mocy.
Przenigdy tego ci nie zapomnę...
I opuściła oczęta skromnie.
Gdy Adam schylał się nad dziewczyną,
Biegną żołnierze z wielką drabiną,
Krzyczą: – Ratujmy naszą królownę!
Jak się nie uda, niestety, pewne
Jest, że o ile bez niej wrócimy,
To los Królowny wnet podzielimy:

Cesarz ustawi wszystkich na stosie
I nas usmaży jak te łososie.
Nagle rycerze chłopca dostrzegli,
Przy nim swą Panią, szybko podbiegli,
Głośno wołają, łzy roniąc rzewne:
– Uratowałeś naszą Królownę!
Poweseleli jakby po winie,
Mówią: – Nagroda ciebie nie minie.
Prowadźmy Panią naszą do ojca,
Aby zdarzenie owe do końca
Szczęśliwym było, a nasz bohater
Od dzisiaj będzie dla wszystkich bratem.
Także prowadźmy go do Cesarza,
Bo dla królowny życie narażał.
Chłopiec promieniał jak tarcza słońca,
Pochwałą bowiem nie było końca.

I tak w wesołym tym korowodzie
Idą do Zamku o słońca wschodzie.
Deszcz zgasił ognia sieci pajęcze,
Ranne promienie wzbudziły tęcze.
Żółwik popatrzał z nostalgią w niebo:
– Muszę tam wracać, drogi kolego,
Przygody z tobą cudowne były,
Lecz czas już odejść, mój druhu miły.
Adam miał łezki w błękitnych oczach,
Wytał je końcem Panny warkocza
I rzekł do Janka: – Och! Nie żartujesz,
Patrząc na tęczę, wiem, co ty czujesz!
Sam bardzo tęsknię za swą rodziną...
Mówił to z wielce zboląłą miną
I ucałował go między uszy.
Do łuku tęczy żółw wolno ruszył...

Już Janek zniknął z pola widzenia,
Gdy słońce skryła kurtyna cienia.
To znowu czarne chmury burzowe
Skryły za sobą tęczy połowę.
Pchnięte powiewem, dalej płynęły
I całą tęczę wkrótce połknęły.
Raz na horyzont, a raz na Zamek
Spogląda Janek: – Co tu jest grane?
I znowu znikła gdzieś moja praca,
Z radością będę do chłopca wracał.
I woła głośno orszak z daleka,
Aby na niego Adam zaczekał.
Chłopiec zdziwiony, ale szczęśliwy,
Żółw ze zmęczenia już ledwo żywy:
– Mogę wraz z tobą w drogę wyruszyć,
Lecz nowy worek musisz mi uszyć.

Królewna była taka wspaniała,
Że swą jedwabną chustę mu dała.
Mówi do żółwia: – To twe mieszkanie!
Chłopiec zarzucił chustę na ramię...
Nagle stanęli przy wielkich wrotach,
Chłopiec troszeczkę się zakłopotał,
Królewna mówi: – Dalej kochani –
Taki jest zwyczaj – pójdziecie sami.
A więc wylewnie się pożegnali,
Bramę otwarli i podążali
Razem z żółwikiem w wielkie nieznane:
Do władcy, który był Świata Panem.
Najpierw przez pokój przeszli zielony,
Winny krzew wił się na wszystkie strony,
Powój otaczał kolumny smukłe,
Zamiast dywanów traw polnych pukle.

Mówi do żółwia rad, że go niesie,
Adam: – Patrz! Janek – jak u mnie w lesie!
Próg przekraczają następnej sali,
Wszystko w kolorze matowej stali,
Twarde i ostre, smutne i nudne,
Wprost do zniesienia było to trudne,
Lecz przekraczają następne progi...
Ten pokój jeszcze bardziej ubogi,
Dziwne i obce kształty koszmarne,
A wszystko wokół było tak czarne,
Że nie widzieli wzajem swych twarzy.
Chłopiec o świetle słońca zamarzył...
Wtem dostrzegł promyk jasny w oddali,
Tam z żółwiem kroki swe skierowali.
Gdy byli blisko, Janek poucza:
– Patrz, przecież to jest dziurka od klucza!

Adam otworzył wrota z rozmachem
I to, co ujrzał, zdjęło go strachem:
Potworne światło oczy rażące,
Jak lud jest zimne, jasne jak słońce.
W symfonii światła dostrzegł krąg złoty,
To był świetlisty tron tej istoty,
Która się Panem zwie Świata Wszego,
Przed nim struchleli Adam z kolegą.
Gdy wzrok już trochę przyzwyczaili,
Bardzo ciekawą rzecz zobaczyli:
Blask nie bił wcale od tej istoty,
To jasnym światłem błyszczał tron złoty.
Cesarz stał przy nim i błyszczał przy tym,
Od tronu światłem ledwie odbitym.
Kiedy podróżni się pokłonili,
Cesarz przemówił do nich po chwili:

– Mów, drogi chłopcze, o sobie wszystko,
Bacz tylko, by to, co z ust twych wyszło,
Było najszczerzą na świecie prawdą.
Snuł swą opowieść chłopiec zabawną:
O dziadkach, zwierzach, niedźwiedziu-bratku,
O sztormie, Czarnym Magu, Gagatku,
O pustelniku i o karczmarzu.
Żółw łeb wychyla: – Ach, ty bajarzu!
A o wyścigu to zapomniałeś,
Jak to sromotnie ze mną przegrałeś?!
Cesarz się zaśmiał, chłopiec się strapił,
Specjalnie bowiem fakt ten przegapił.
Wyścig nie przyniósł mu żadnej chwały,
Wszak chłopiec przegrał z żółwikiem małym.
Cesarz pogłaskał swą brodę siwą,
W życiu już widział niejedno dziwo,

Lecz zaskoczyła go ta opowieść.
Kazał więc chłopcu do tronu podejść
I tako rzecze: – Tyle przeżyłeś,
Lecz po to na świat ten nasz przybyłeś,
By za twą sprawą na baszty murze
Nie zmarła córka ma w dymu chmurze.



Przeto dam tobie wybór nagrody:
Wybierz z dwóch jedną, wybawco młody!
Albo twój będzie worek ze złotem,
Albo obarczę ciebie kłopotem

I będziesz służył u Maga mego,
Razem ze swoim małym kolegą.
Chłopiec rozmyśla: będę bogaty,
Kiedy powrócę do starej chaty,
Dni moje będą dostatnie, sute
I teraz wspomniał, jak Starzyk mu tę
Przekazał prawdę, wtedy przy grocie.
Rzekł do żółwika: – Jestem w kłopotcie,
Powiedz, mój druhu, co wybrać lepiej?
Janek po głowie tylko się klepie:
– Musisz, niestety, sam zdecydować,
Ty się nie możesz w skorupie schować,
Wszak jesteś młody, życie przed tobą,
Musisz sam wybrać i zrób to z głową.
Chłopiec rozmyśla: powiedział Starzyk,
Że jeśli sukces komu się marzy,

Pieniądz jedynie w życiu coś znaczy,
Jednak sam przecież się rozpijaczył,
Widać niedobry był jego morał,
A zresztą potem wszystko odwołał.
Pełen rozterek zadecydował
I do Cesarza mówi te słowa:
– Wspaniały Panie, zachowaj złoto,
Pójdę do Maga na służbę po to,
By blisko twego być majestatu
I z wysokości przyjrzeć się światu.
Cesarz się jeszcze bardziej zadziwił,
Powiedział: – Wiedza to skarb prawdziwy,
Dobrze wybrałaś. Przy świetle głowni
Mag poprowadzi cię do pracowni...
Przez ciemne, niskie szli korytarze,
Idąc tak, błądził w krainie marzeń

Adam i myślał: tu źródło czyste
Wiedzy tajemnej i wiekuistej,
Zagadki świata i tajemnice,
Rozwiązaniami tu się zachwycę.
Tak rozmyślając, idąc schylony,
Potknął się nagle o pręt skrzywiony,
Który z podłogi sterczał jak zadra,
Płonąca głównia z ręki wypadła.
Chciał Adam jeszcze w locie ją złapać,
Patrzy: z podłogi wystaje krata.
Wpadła pochodnia w głębie czelustną,
Nietoperz chłopca w policzek musnął..
Mag mu powiada: – Jesteś niezdarny,
Chyba cię złożę na stół ofiarny..
Chłopiec na plecach już ciarki czuje,
Nie wie, czy serio, czy też żartuje

Mag, kiedy słowa te wypowiada.
Pochodnia ciągle w czeluście spada...
Długo, tak długo powietrze cięła,
Gdy wreszcie lochów dno osiągnęła,
Upiorne miejsce tam rozświetliła,
Więźniów tysiące światłem zbudziła.
Potworne jęki, odgłosy obce,
Zimny dreszcz wstrząsnął żółwiem i chłopcem.
– Co to jest, Magu, kto cierpi bóle?
– Ci, co nie chcieli stanąć za Królem.
Nasz Król, nasz Cesarz, Pan Wszego Świata
W każdym człowieku widzi on brata,
Jeżeli tamten odda Mu duszę,
Ja jemu także oddanie służę.
Kto jednak nie chce oddać swej duszy,
Tego majątek Cesarz wyburzy,

Do lochów zamknij i koniec sprawy,
Z Cesarzem nie ma, chłopcze, zabawy.
– No dobrze, Magu powiedz mi wreszcie,
Kim byli owi ludzie w areszcie?
– Różnie: i chłopci, i robotnicy,
Nauczyciele, kamienicznicy,
Wszędzie się znajdzie ziarno fermentu,
Na szczęście kończą na dzień odmetu,
Tam wiodą nędzę swego żywota,
Odkąd żelazny klucz zachrobotał,
Gdy przekręcany był moją ręką,
Teraz się sycę tą ich udreką.
Był też klucz złoty, oba Pan dzierżył
Lecz zaginęły i to go mierzi.
Prawiąc tak, doszli do celu prawie,
Żółw łeb wystawia: – Mam taką sprawę:

Wy poruszacie różne tematy,
A co z kolacją? Ja chcę sałaty!
Świeżej sałaty prosto z ogrodu
Jak będzie stara, to umrę z głodu!
I tak przy blasku płonących głowni
Weszli do maga tajnej pracowni.
– Teraz ci, chłopcze, powiem dwa zdania:
Zaczniesz od starych ksiązek czytania,
Gdy poznasz naszej wiedzy podstawy,
Wtedy wyjaśnię ci inne sprawy,
Abyś nam w końcu służył swym życiem,
Lecz, chłopcze, przyłóż się wyśmienicie,
Przecież nie jesteś ty w ciemę bity,
Możesz należeć też do elity!
Gdy woluminy wszystkie pochłoniesz
I kiedy w morzu wiedzy utoniesz,

Uderz w ten stary dzwon nad sklepieniem,
A wnet się zjawię, jakbym był cieniem.
Adam się zabrał do studiów księgi,
Nigdy nie widział takiej potęgi:
Przeczytał wreszcie, jak w tęczy, słońce
Wyczarowuje barwy drgające,
Jak świecą gwiazdy na czarnym niebie
I jak w przestworza wzbić się w potrzebie.
Coraz to głębsze prawdy odkrywał:
Że tworzą jedność oko i ryba,
Ale nie znalazł tej odpowiedzi:
Po co na świecie człowiek się biedzi?
Widocznie tego problemu głębi
Nie opisują najmędrsze księgi.
Po wielu nocach nad świeczki światłem,
Kiedy wertował karty wyblakłe,

Był coraz bardziej pewien jednego:
Że tak naprawdę nie wie niczego
I – zatroskany swym dalszym losem –
Mówi do Janka ściszym głosem:
– Ksiąg mądrych tysiąc już przeczytałem,
Wszystkie największe świata nauki,
Tajemną wiedzę także poznałem,
Niestety, jestem – jak byłem – głupi.
Mój rozum ciągle stawia pytania,
Choć nie znajduje nań odpowiedzi,
Niepewną wiedzą mózg się omamia,
Spragniona dusza musi się biedzić.
Czy jest sens pytać o sens istnienia
Boga, co w chwili dzieła tworzenia
Pośród zapachu, smutku, zawodu
Wlał beczkę dziegciu do łyżki miodu...?

Janek do niego mówi: – Kolego,
Czy nie za wiele czytania tego?
Mówisz coś, czego ja nie rozumiem,
Filozofować przecież nie umiem,
Ja nauczałem swoim przykładem,
Każdy zrozumieć to dawał radę,
Lecz ty masz zawsze sposoby lepsze...
Pamiętasz tęczę, wyścig za wieprzem?
Zbyt duża wiedza czasami szkodzi,
Możesz utopić się w jej powodzi...
Chłopiec mu przerwał i krzyknął: – Basta!
Ruszam na podbój wielkiego miasta!
Zaczął w dzwon walić jak oszalały,
Szczyry z komnaty pouciekały...
Jak cień się zjawił Mag przed Adamem:
– Jesteś już gotów stanąć przed Panem?

Przy starej szafie guzik przycisnął,
Coś zabuczało, przycisk rozbłysnął,
Jarzył się jasnym światłem czerwonym,
Mag stał w tej łunie jak zakrwawiony,
Twarz jego była maską upiora.
Janek powiedział: – To na mnie pora!
Jeśli nic nie masz przeciwko temu,
Muszę, Adamie, zaczerpnąć tlenu.
Lecz Mag nań krzyknął: – Leż przy komodzie!
Bo choć skorupy nie są dziś w modzie,
Jeżeli szybko mnie nie posłuchasz,
To zrobię z ciebie dzbanek bez ucha...
Żółw się wystraszył, pod szafę schował,
Adam do Maga mówi te słowa:
– Miarkuj się trochę, to mój przyjaciel...
– Chłopcze, o siebie zadbaj ty raczej.

Nagle drzwi w ścianie się otwierają,
Do wielkiej klatki razem wsiadają...
Brudna i pełna pajęczyn była,
Na szczyty zamku winda wwoziła
Dwójkę podróżnych, chłopca i Maga.
Przez kraty wiatr ich po twarzach smaga.
Widok klarowny aż po horyzont,
Adam nie wierzy, choć oczy widzą,
Gdziekolwiek spojrzy, miasta, miasteczka,
Pomiędzy nimi błękitna rzeczka,
Na niej żaglowce, łódki i tratwy,
Po łąkach chmary krzyczącej dziatwy,
Pola zasobne i pełne zboża,
Ogromne statki przy brzegu morza.
Coraz ma szerzej oczy otwarte,
Mówi z zachwytem: – Wiele to warte!

A winda dalej w górę się wspina.
Co też porabia moja żółwina?
– Pomyślał chłopiec, posmutniał przy tym,
Znów się zachłysnął niesamowitym
Widokiem z góry, lecz im był wyżej,
Tym widział więcej, niż gdy był bliżej,
Lecz stąd szczegółów już nie dostrzegał,
Tak jak na tęczy jest blisko nieba...
Wspomniał podróżnik przygody swoje,
Wszystkie po drodze znoszone znoje,
Które go na szczyt doprowadziły,
Wtem coś skrzypnęło, szarpnęły liny,
Winda stanęła, są już na szczycie,
Co będzie dalej, wnet zobaczycie.

ROZDZIAŁ X

NIEBEZPIECZNA GRA



Są na najwyższej wieży, w tym Zamku.
Kopuła błyszczący jak blask poranków,
Ogromna, czysta, jasna i szklista,
A pod kopułą sylwetka mglista –
Druga, dziesiąta, sto pięćdziesiąta –
Jednaka niemoc wszystkie je płata.
Adam się Maga pyta zdziwiony:
– Kim są postacie z tej drugiej strony?
– Tym, co ci powiem, pewnie cię wzruszę:
To są zamknięte, człowiecze dusze.
Kto się naszemu Panu poddaje,
Ten swoją duszę tutaj oddaje.
Mają tu dobrze duszyczki wszystkie,
Namiastkę nieba, wszak jest tu bliskie.
Jeszcze o jednym ciebie pouczę:
Niegdyś zamknąłem je złotym kluczem.

Lecz gdzieś mi zginął klucz szczerzoty...
Przypomniał sobie bohater o tym,
Co mu gadały Psy-Biesy stare,
Ich opowieściom znowu dał wiarę.
Nagle Mag przerwał mu rozmyślenia
I wypowiedział te oto zdania:
– Wszystkie już księgi przestudiowałeś
I z wysokości świat ten poznałeś.
Chociaż nie wszystkie miasta są nasze,
To wkrótce będą, gdy je postraszę
Cudownie groźną i latającą
Bronią burzącą, wszystko niszczącą...
Wreszcie Mag rzecze: – Młody człowiecze,
Zobaczysz piękną walkę na miecze.
Tu się skończyła twoja nauka,
Chodźmy do plebsu rozrywki szukać.

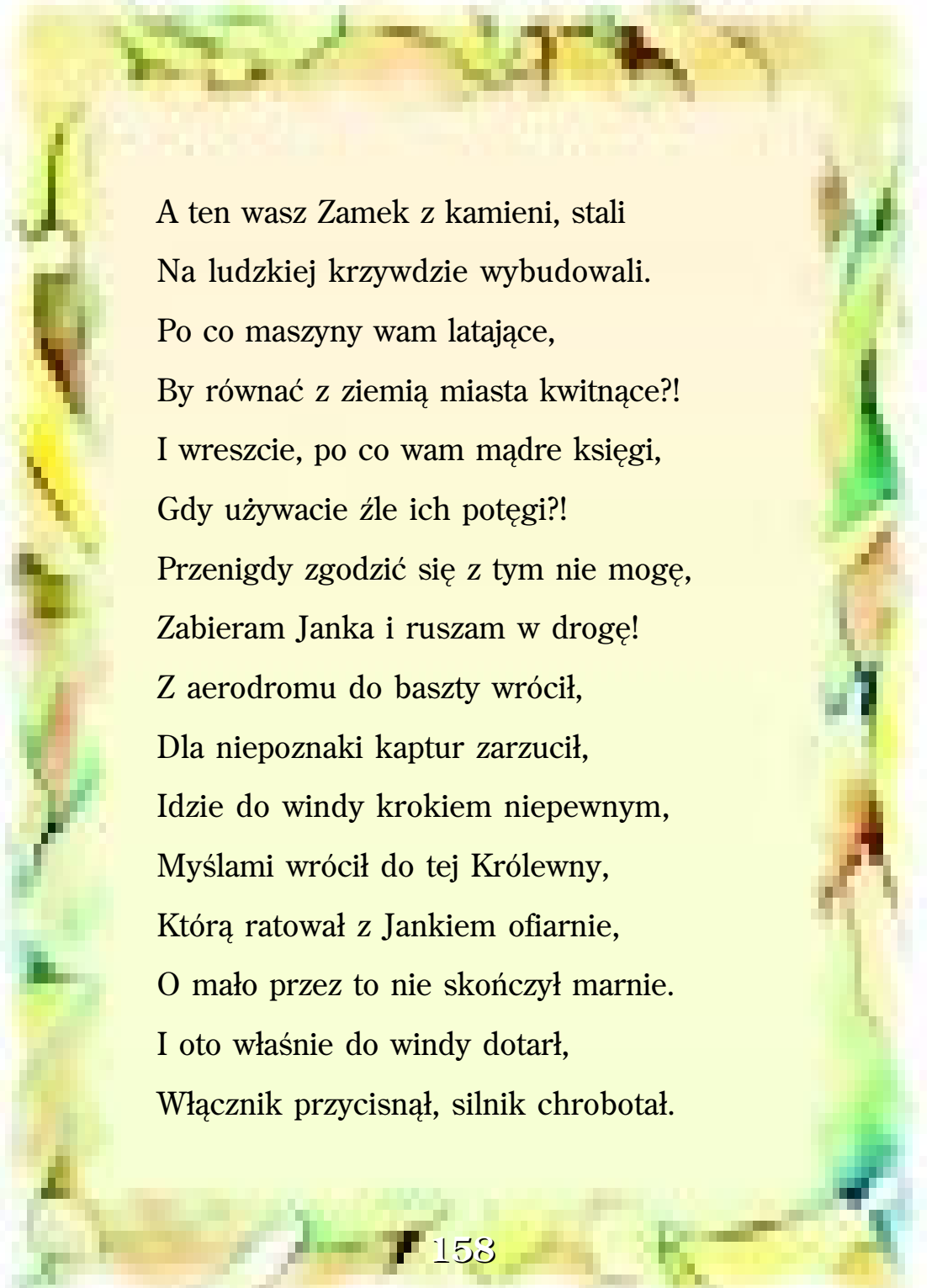
Gdy windą z wieży na dół zjeżdżali,
Problem ten umysł chłopca rozpalili:
Wspaniałe dzieło jest z jednej strony,
Z drugiej zaś naród ciężko gnębiony,
Tu wielka wiedza, sztuka, nauka,
Tam lud, co chleba czerstwego szuka.
Cesarz wspaniała, Janek zaszczyty.
Z tego wszystkiego jestem już głupi.
Nagle szarpnęło podróżnikami.
– Mój drogi chłopcze, tu wysiadamy!
Z wieży wywiodły ich schody kręte,
Wtem słyszą tumult tuż za zakrętem...
To pojedynek był dwóch rycerzy:
Jeden ucieka, drugi doń mierzy
Z czerwonej lancy światłem plującej,
Wiązką promieni jasnych jak słońce,

Ale nie trafił, bo unik zrobił
Jego przeciwnik, teraz sposobił
Się do ataku, więc dobył miecza
I jego ostrzem przeciął na plecach
Zbroję rycerza, krew popłynęła,
Krzykliwy wiewat czynić zaczęła
Zebrana wokół widowni tłuszcza,
Rada, że mieczem życie wypuszcza,
Z ziejącej rany, Woj, przeciwnika.
Jęki ofiary to jak muzyka,
Dla wszystkich wokół zebranych ludzi,
To widok świeżej krwi ich pobudził.
Adam do Maga mówi: – Zabawa
Ta jest okrutna... – To jest ich sprawa –
Mag mu przerywa: – A niech się wytną,
Nieważne: mieczem, nożem czy brzytwą.

Pojedynkują się ludzie dziwni,
Zwłaszcza ci, co są zbyt agresywni.
Martwi nie będą już spiskowali,
Bez nich Cesarstwo się nie zawali.
Adam odchodził pełen frasunku
I poszli razem w tamtym kierunku,
Skąd dobiegało głośnie buczenie,
Drgania straszliwe wstrząsały ziemię.
Nagle jak pocisk z procy wyskoczył
W przestworza pojazd, co raził w oczy,
Swym wielkim blaskiem, z ogromnym hukiem
Leciał po niebie łagodnym łukiem.
Adam z wrażenia prawie oniemiał,
Wszak o tym marzył od urodzenia,
Aby jak ptaki latać w przestworzach,
Poznawać lądy, dalekie morza,

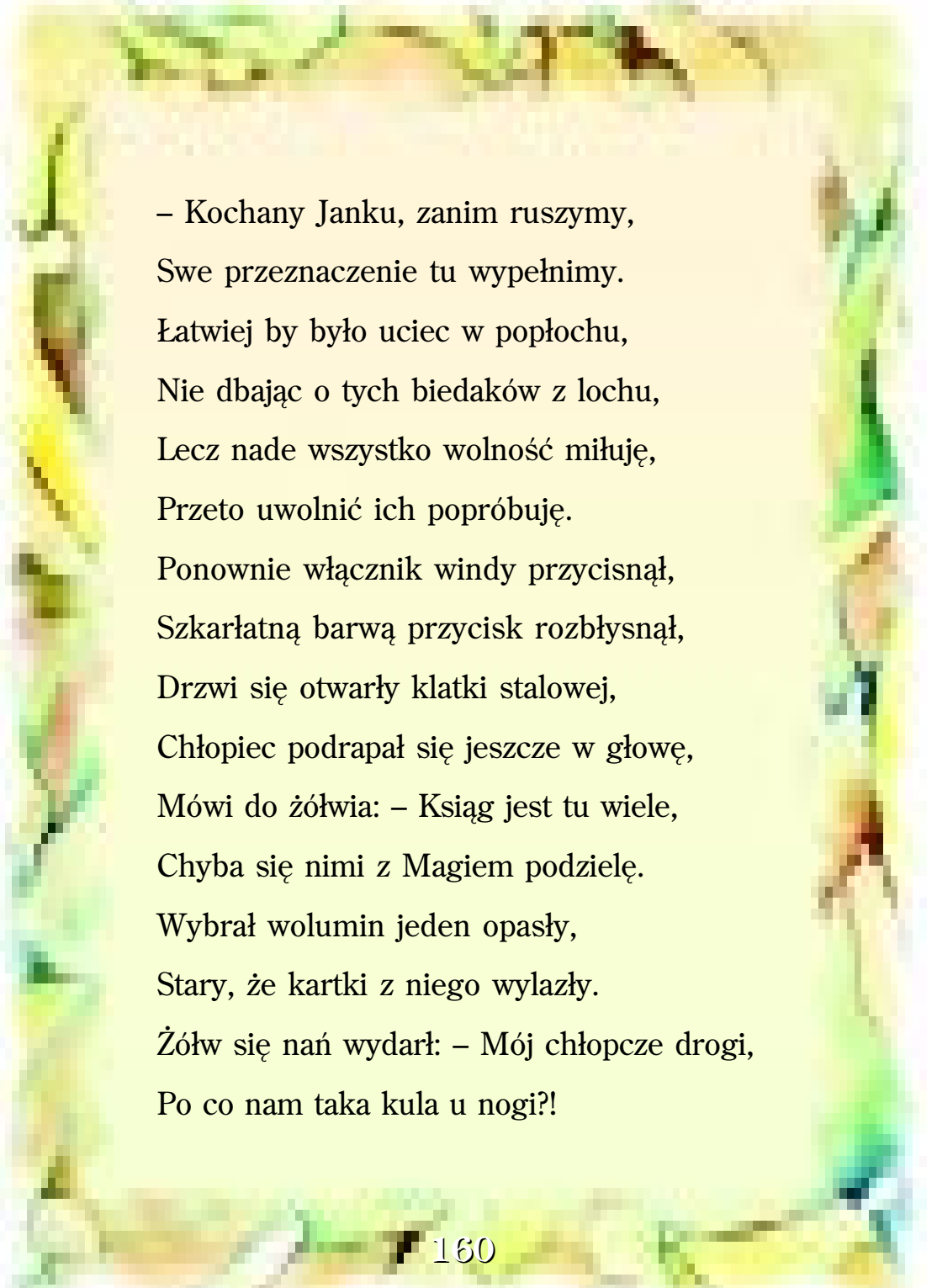
A tu się mogą marzenia ziścić,
Teraz już nic ich nie może zniszczyć.
Mag mu powiada: – Dzisiaj polecisz
Z oddziałem wojska wieś zabezpieczyć,
Gdzie zbuntowali się Sparturianie,
Liczę na ciebie, drogi Adamie!
Wszystkich wytniecie, wioskę spalicie
I na kolację tutaj wrócićie.
Chłopcu świat cały w oczach wirował,
Emocje jednak głęboko schował.
Mówi do Maga: – Dobrze, w porządku,
Najpierw ich zgładzę, potem we wrzątku
Wszystkich za karę sam ugotuję,
Niech respekt każdy przede mną czuje...
– Widzę, że świetnie cię wyszkoliłem,
Liczę na mądrość twoją i siłę.

Wsiadaj do statku – otwarte węzy,
Czarny Kapitan dostał rozkazy.
Ja, już niestety muszę powracać,
Czeka mnie jeszcze poważna praca.
Adam udawał, że wsiadł do statku,
W duchu pomyślał: Zaczekaj, bratku,
Chciałeś uczynić ze mnie Gagatka,
Wielka by była dla ciebie gratka,
Gdybym się poddał naukom twoim,
To byłbym tylko bandytą w zbroi,
A mówiąc szczerze, tak między nami,
Wszyscy Magowie są tacy sami.
Już pokonałem Maga Czarnego,
Teraz na ciebie kolej, kolego!
Dobrze się ludzie w drodze skarżyli,
Że wyście tylko wszystkich łupili,



A ten wasz Zamek z kamieni, stali
Na ludzkiej krzywdzie wybudowali.
Po co maszyny wam latające,
By równać z ziemią miasta kwitnące?!
I wreszcie, po co wam mądre księgi,
Gdy używacie źle ich potęgi?!
Przenigdy zgodzić się z tym nie mogę,
Zabieram Janka i ruszam w drogę!
Z aerodromu do baszty wrócił,
Dla niepoznaki kaptur zarzucił,
Idzie do windy krokiem niepewnym,
Myślami wrócił do tej Królowny,
Którą ratował z Jankiem ofiarnie,
O mało przez to nie skończył marnie.
I oto właśnie do windy dotarł,
Włącznik przycisnął, silnik chrobotał.

– Najpierw do Janka, potem do lochów,
Gdzie krwi kałuże i kopce prochów.
Plecy mu zwały lodowe poty,
Nagle na szyi brzdęknął klucz złoty
I w tym momencie winda stanęła.
Pomyślał chłopiec: weź się do dzieła!
W wielkim pośpiechu przycisku szuka
Do sali Maga, wielka to sztuka,
Lecz się udaje, do środka wchodzi
Patrzy Janka: – Mag cię wygłodził!
Jak ty wyglądasz, tyś ledwo żywy!
A żółwik płacze: – Jesteś prawdziwym
Mym przyjacielem, bo mnie w potrzebie
Nie opuściłeś, znów będę w niebie
Biegał po łuku mej pięknej tęczy
I znowu różnych podróżynych męczył...

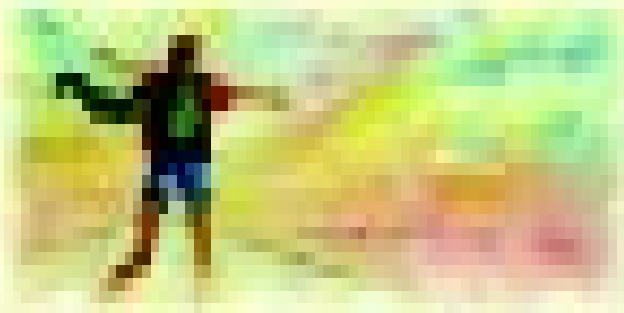


– Kochany Janku, zanim ruszymy,
Swe przeznaczenie tu wypełnimy.
Łatwiej by było uciec w popłochu,
Nie dbając o tych biedaków z lochu,
Lecz nade wszystko wolność miłuję,
Przeto uwolnić ich próbuję.
Ponownie włącznik windy przycisnęła,
Szkarłatną barwą przycisk rozbłysnęła,
Drzwi się otwarły klatki stalowej,
Chłopiec podrapał się jeszcze w głowę,
Mówi do żółwia: – Książ jest tu wiele,
Chyba się nimi z Magiem podzielę.
Wybrał wolumin jeden opasły,
Stary, że kartki z niego wylazły.
Żółw się nań wydarł: – Mój chłopcze drogi,
Po co nam taka kula u nogi?!

– Janku, zaprzestań swoich złorzeczeń,
Wiedza wymagać musi wyrzeczeń...
Żółwik mu rzecze: – Jeśli, człowiecze
Bierzesz ze sobą księgę, weź świecę!
– Nie czyn mi, Janku, już żadnych fochów.
Wsiedli do windy, suną do lochów,
Adam się trochę boi i smuci
Co będzie, kiedy zły Mag powróci?
Jednak od strachu silniejsza była
Wola, co chłopca tu sprowadziła.
Nim się spostrzegli, na dół zjechali,
Łoskotem windy tam powitali,
Tych potępieńców, jeńców Cesarza.
Płomień ze świecy tańczył na twarzach,
Malował na nich rysy upiorne,
Choć wychudzone, to niepokorne

Były więzione tutaj postacie,
Głowy oparte na zimnej kracie...
Tracą tu swoje najlepsze lata,
Bo nie widzieli w Cesarzu brata,
Nie chcieli dzielić ohydy jego,
Zaprzedać jemu siebie samego.
Butnym, choć drżącym głosem pytają
Dwóch podróżników: skąd przybywają
I co w tym miejscu robią przeklętym,
Gdzie mrok i wilgoć, i kraty pręty?
Chłopiec, zaś ściga z szyi dwa klucze...
– Ja już widziałem nie takie pucze!
Janek do niego rzecze: – Zobaczysz,
Wkrótce osobą swoją wzbogacisz
Te mroczne lochy, a ja wraz z tobą
Będę przepiękną lochów ozdobą.

– Nie kracz, mój Janku, nie jesteś wrona!
Zły Mag tak łatwo nas nie pokona!
I klucz żelazny w zamku przekręcił..
Było tak ciężko, że aż się zmęczył,
Lecz gdy już rygiel z trzaskiem odskoczył,
Niesamowity blask zakłuł w oczy...



Nagle mrok lochów coś rozproszyło,
Płomyczek świeczki całkiem przyćmiło.
To świętojańskie robaczki jasne
Spłynęły chmurą w miejsce to straszne,

Zieloną luną wszystko okryły,
Ludzi nadzieją znów obdarzyły,
Bo chociaż słabi, wręcz wycieńczeni,
Przecież zostali już uwolnieni.
Adam z frasunkiem myśli: co dalej?
Wszak nie dam szansy im nawet małej,
Że stąd się wymkną niedostrzeżeni...
Jak Mag ich złapie, to znów zamieni
W swych niewolników lub jeszcze gorzej
I nikt im wtedy już nie pomoże.
A wybawieni jakby czytali
W myślach i chłopcu tak obiecali:
– Nigdy ci tego nie zapomnimy,
Żeś nas wybawił, lecz cię prosimy:
Idź, ratuj dusze, to ci pisane,
Że wygrasz wtedy ze świata Panem,

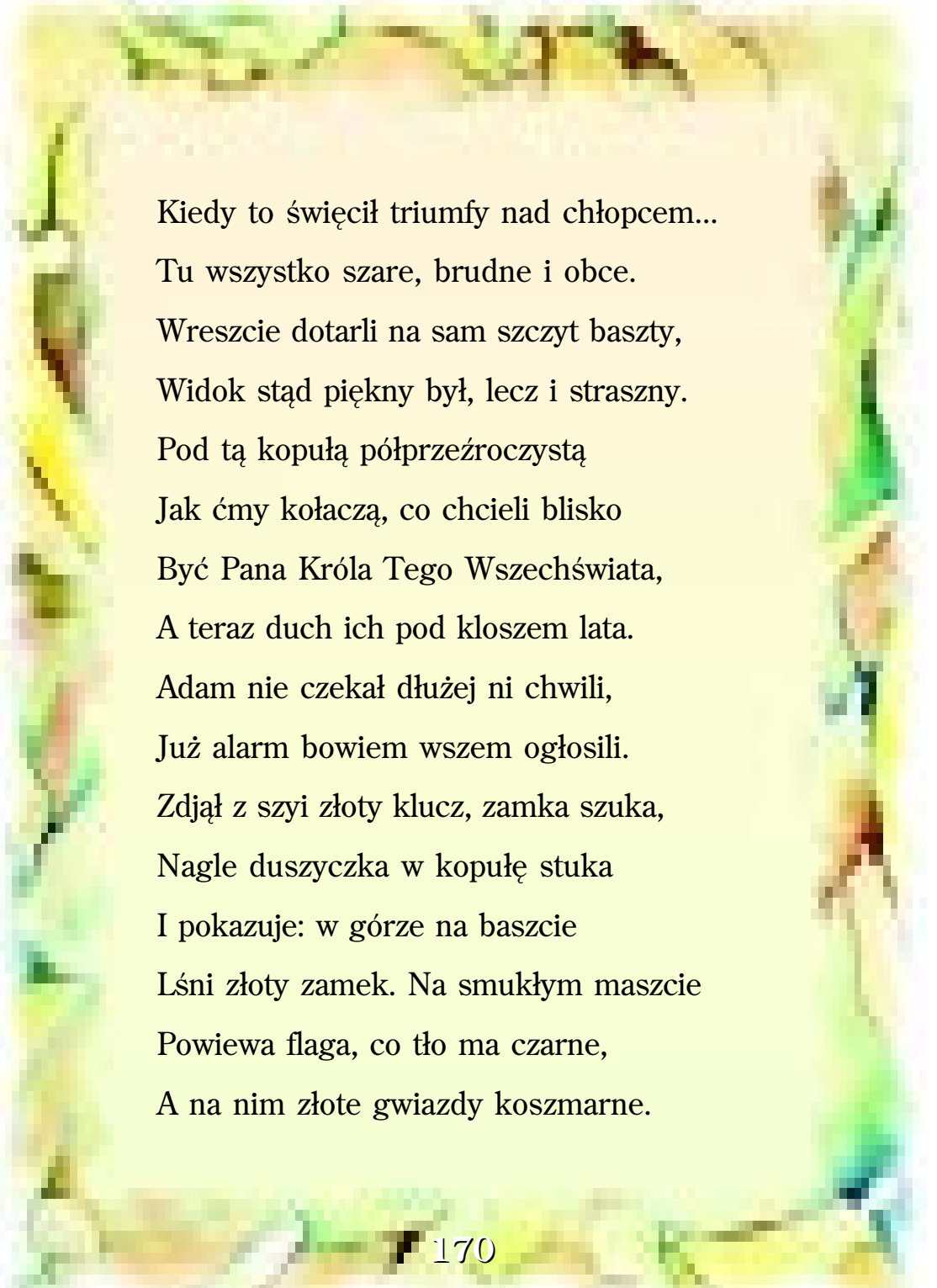
Kiedy uwolnisz nas oraz dusze
Tych, co nas więżą... – Tak zrobić muszę –
Powiedział Adam – śpieszyć się trzeba,
Aby się dostać z piekła do nieba.
Raz jeszcze pięknie mu dziękowali
I taką radę na drogę dali:
Aby unikał Cesarza głosu,
Jeśli podzielić nie chce tych losu,
Co to, na baszcie krążą ich dusze...
Adam powiedział: – Ruszyć już muszę
I wsiadł do windy wraz z przyjacielem.
Jeszcze czekało ich trudów wiele.
Wcisnęli przycisk, jadą do góry,
Szklaną kopułę spowiły chmury.
Powoli suną w klatce ze stali...
A Mag tymczasem wszedł do swej sali,

Patrzy: jest pusta, słucha: jest cicho,
– Gdzie żółw się podział? Co to za lichy?
Patrzy: za szafą Janka ni śladu.
– Nie mógł żółw przecież sam zjechać na dół!
Mag kalkuluje: – Ktoś mnie tu kiwa!
Wtem nasłuchuje: – To winda chyba.
Wcisnął więc guzik, klatka stanęła.
Chłopca i żółwia trwoga objęła,
Kiedy poczuli szarpnięcie nagle,
Adam pomyślał: ty czarny diable!
I w tym momencie drzwi się otwarły,
Nasi podróżni w strachu zamarli.
Mag wrzasnął: – Dla was tu drogi finał!
Po coś ty, chłopcze, ze mną zaczynał?
Bardzo zawiodłem się dziś na tobie,
A z ciebie, żółwiu, sam wazę zrobię!

Adam, choć ciągle trząsał się ze strachu,
Mówi do Maga: – Ty patalachu,
Mimo żeś wielki, przegrałeś ze mną,
Powiem ci teraz rzecz nieprzyjemną:
Pamiętasz, coś mi o kluczu mówił
Żelaznym, co go Pan kiedyś zgubił?
Otóż ja klucz ten mam w posiadaniu!
Mag huknął strasznie: – Oddaj go draniu!
– Ha, ha satrapo, już jest za późno,
Twoje starania są tu na próżno,
Klucz bowiem w zamku sam przekręciłem
I więźniów z lochów nim uwolniłem!
Mag wpadł w panikę, słysząc te słowa:
– Muszę uciekać, póki ma głowa
Jest na mej szyi, jak się nie uda,
Będą się działy z nią różne cuda.

Co ty zrobiłeś?! Jak wszyscy na raz
Wyjdą z tych lochów, będzie ambaras!
I zaczął krzątać się po pracowni,
Chłopiec z żółwikiem w roli widowni
Patrzą, co zły Mag teraz wyczynia,
Mag szuka skrzyni: – Gdzie moja skrzynia?
Znalazł ją wreszcie, pełna jest sprzętów,
Ciężka od złota, srebra, diamentów.
Z trudem ją wielkim do windy taszczy:
– Muszę uciekać przed ludem strasznym!
Gdy był już w klatce, to się poślinił,
Bo zauważył, że z jego skrzyni
Wypadł po drodze mały diamencik...
– Rzuć go, Adamie – chłopca zachęcił.
Tymczasem w windzie liny skrzypiały,
Dał Adam diament i... się zerwały.

Obgryza palce zły Mag w popłochu,
Urwana winda mknie w czeluść lochów.
Jak go ugoszczą jego więźniowie?
Już za chwil kilka w lochu się dowie.
Adam z żółwikiem doszli do siebie:
– Biegnijmy do tych co w sztucznym niebie!
Ale, niestety, to niewygodna,
Że windy nie ma, wielka to szkoda.
Trzeba po schodach wejść na szczyt baszty,
Adam biegł szybko i Janka taszczył.
Żelazna wola ich prowadziła,
Chociaż wycieczka nie była miła.
Kręcone schody pełne pajęczyn...
– Lepiej mi było na grzbiecie tęczy.
Janek zaczyna swą starą piosnkę
I znów wspomina chwile radosne,

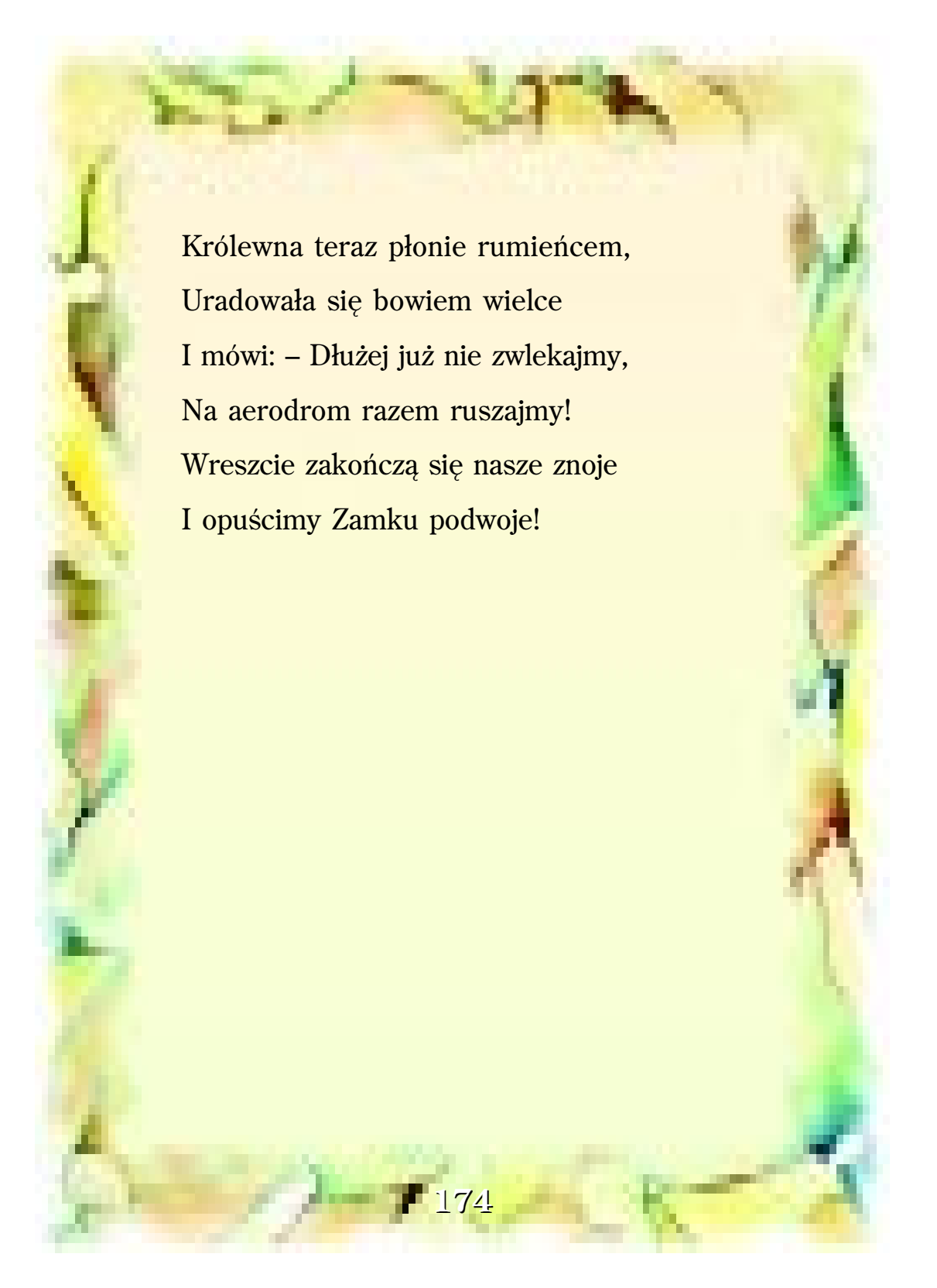


Kiedy to święcił triumfy nad chłopcem...
Tu wszystko szare, brudne i obce.
Wreszcie dotarli na sam szczyt baszty,
Widok stąd piękny był, lecz i straszny.
Pod tą kopułą półprzezroczystą
Jak ćmy kołaczą, co chcieli blisko
Być Pana Króla Tego Wszechświata,
A teraz duch ich pod kloszem lata.
Adam nie czekał dłużej ni chwili,
Już alarm bowiem wszem ogłosili.
Zdjął z szyi złoty klucz, zamka szuka,
Nagle duszyczka w kopułę stuka
I pokazuje: w górze na baszcie
Lśni złoty zamek. Na smukłym maszcie
Powiewa flaga, co tło ma czarne,
A na nim złote gwiazdy koszarne.

Zamek wysoko, straszna mordęga,
Adam na palcach staje – nie sięga.
Teraz pomyślał: jest przecież księga!
– Mówilem: wiedza to jest potęga!
Położył księgę i na niej staje,
Ale do zamka wciąż nie dostaje!
Mówi do niego Janek: – Już byłem
Twą parasolką, tarczą i kijem,
Zawsze jak trzeba to wiernie służę,
Teraz pomogę jako podnózek,
Bo choć skorupa cenną ozdobą,
To bardziej cenna jest przyjaźń z tobą.
Adam na księgę Janka położył,
Teraz bez trudu klucz w zamek włożył...
Nagle pośliznął się, bęc i leżą,
Patrzą i oczom swoim nie wierzą:

Pryśła jak wielka bańka mydlana
Szkłana kopuła Cesarza Pana
I Adam z ulgą spogląda w niebo,
Wszak pokonali Króla straszego,
Reszty dokona lud uwolniony.
– Musimy wracać w rodzinne strony.
Nagle od schodów słyszą okrzyki:
To idą czarnych rycerzy szyki.
– Co teraz robić? Zaraz tu wbiegną,
Adam ucieczki drogę ma jedną.
Wraz z przyjacielem na maszt się wspina:
– Wdrapuj się szybciej – krzyczy żółwina.
Gdy wspiąć się na szczyt chłopiec odważył,
To jego ciężar maszt ten przeważył,
Powoli zgiął się i wygiął w pałąk,
Przeszli zbiegowie na basztę małą.

Nagle dojrzeli przy drzwiach stojącą
Królowę, ręką im machającą.
I woła do nich: – Biegnijcie do mnie!
Zaryglowała zaraz przytomnie
Drzwi przed oddziałem czarnych rycerzy,
Który za nimi po maszcie bieżył.
Królowna chłopcu tak oto rzecze:
– Nie chcę już dłużej żyć w takim świecie
I chociaż jestem córką Cesarza,
To nie pociąga mnie taka władza.
Choć ojca kocham, to nic tu po mnie!
I opuściła oczęta skromnie.
Adam zachęca: – Uciekaj z nami,
Bardzo prosimy, przepiękna Pani!
I Janek robi doń miny sielskie,
Gdy oczy Pani widzi anielskie.



Królewna teraz płonie rumieńcem,
Uradowała się bowiem wielce
I mówi: – Dłużej już nie zwlekajmy,
Na aerodrom razem ruszajmy!
Wreszcie zakończą się nasze znoje
I opuścimy Zamku podwoje!

Epilog

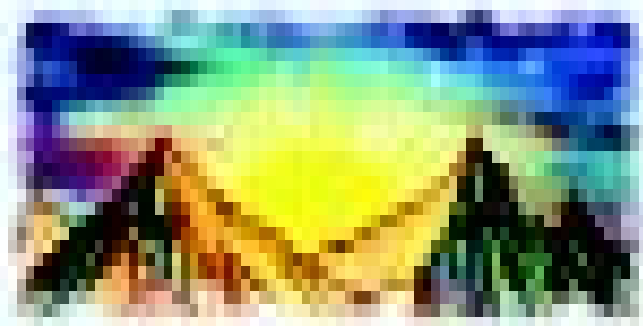
Już są na miejscu w aerodromie,
Za chwilę słońce w morzu utonie
I gwiazd tysiące znowu się zbudzi,
By swoim pięknem radować ludzi.
Gdy wtem ktoś krzyczy: – Podajcie hasło!
Nagle w strażnika z góry coś trzasło,
Ni to iskierka, ani to zjawa,
Coś tajemnego, przedziwna sprawa.
To zwiewna mgielka co duszą była,
W ciała powłokę teraz wróciła.
I żołnierz nagle broń swą odrzucił,
Potem na pięcie w tył się odwrócił,
Lecz jeszcze, zanim pomaszerował,
To do zebranych mówi te słowa:
– Długo służyłem i bez szemrania
Spełniałem wszystkie zachcianki Pana

I nigdy nad tym nie rozmyślałem,
Czy źle, czy dobrze w życiu działałem,
A rozkaz dla mnie był rzeczą świętą,
Lecz teraz skończę służbę przekłętą.
To mówiąc, odszedł powolnym krokiem,
Tak odmieniony losu wyrokiem.
Wszystkie przeszkody już pokonane,
Teraz nas czeka odlot w nieznane.
Adam, Królowa i żółwik wierny
Razem wsiadają w statek pancerny,
Luk zamykają i wreszcie w drogę,
Ale bohater odczuwa trwogę:
– Tyle tu lampek i przełączników,
Tutaj potrzeba dobrych lotników,
A ja jedynie z Sępem latałem,
Więcej nauki nie pobierałem...

I zrozpaczony siadł przy pulpicie...
– To już wasz koniec, nie polecicie,
Z głośnika mówi Cesarz Pan Świata:
– Wszak Mag nie uczył cię, śmiałku, latać,
Albowiem tego mu zabroniłem,
Bo podejrzenia pewne żywiłem,
Odkąd wybrałeś miast złota wiedzę,
Lecz byłeś sprytny, teraz się biedzę.
Do córki mówi słodziutkim głosem:
– Nie waż się lecieć z owym młokosem!
Mnie zdradził, teraz zdradzi i ciebie
I nie opuszczaj ojca w potrzebie!
Z oczu Królowny łezki pociekły:
– Żal mi jest ciebie, ojczy mój biedny,
Lecz sam stworzyłeś potwora tego,
Który cię wkrótce pożre samego,

Tysiące razy ciebie prosiłam,
Że na nic zda się brutalna siła,
Szybki dobrobyt to nie jest wszystko,
Sam teraz widzisz, co z tego wyszło.
Tylko elita cały zysk miała,
A reszta ludu biedę cierpiała.
To mówiąc, sama za sterem siadła,
Wolant podniosła, klapka opadła
I nacisnęła zielony guzik.
Głośnym buczeniem silnik się wzbudził
I wzbił się statek w niebo gwieździste,
Gdzie gwiazd tysiące światła swych błyskiem
Przypominały, że ludzkie życie
Jest tylko iskrą Bożą w niebycie.
Pomyślał Adam: w górę się wzbiłem,
Swoje marzenia wreszcie spełniłem:

Mam przyjaciółkę i przyjaciela!
Janek na pyszczku też poweselał.
I wspomniał Adam swą starą chatę,
Gdy nie był jeszcze obieżyświatem,
Dobrych rodziców oraz zwierzęta,
Które ze swego lasu pamięta.
Powrócić do nich będzie przyjemnie,
Na pewno byliby dumni ze mnie,
Lecz to nie koniec mojej wyprawy,
Bo los jest dla mnie bardzo łaskawy.
Może zawiedzie mnie wola Boża
Odkrywać łądy gwiezdneho morza...?
Tam w dole pierwsze blaski poranku
Grały na murach requiem dla Zamku.



KONIEC

POSŁOWIE

Często powtarza Jan Twardowski, że na świecie więcej mamy dobra niż zła, to drugie jest tylko widoczniejsze, bardziej krzykliwe, a także – dopowiedziałyby współczesny mieszkaniec masowej wyobraźni – lepiej i łatwiej się w mediach sprzedające.

A inny wielki poeta – Tadeusz Różewicz, przywołując Cypriana Kamila Norwida, dzieli się z czytelnikami swoją wiarą, że na świecie zawsze pozostaną dobro i poezja.

Myślę, że jest o tym również przekonany Andrzej Majewski – wrocławski twórca, znany do tej pory przede wszystkim z dokonań na polu aforystyki, skoro tym razem zwraca się – głównie do młodych czytelników – za pomocą formy poetyckiej, a jego wierszowana baśń: *Adam niestrudzony wędrowiec* to przypowieść o wiecznym zmaganiu się dobra ze złem i o ostatecznym zwycięstwie tego pierwszego.

Jest tekst Andrzeja Majewskiego niewątpliwym poematem dydaktycznym i takiego moralizatorskiego

posłania autor bynajmniej nie ukrywa, wplatając do swego utworu posłania mądrościowe o charakterze przysłowiowych zwrotów czy bliskich mu gatunkowo aforyzmów. Nie mogą one jednak ani nużyć, ani odstraszać, owszem – są wyciszającym, refleksyjnym zwieńczeniem kolejnych odcinków fabularnych, a te skrzą się od fascynujących przygód rozgrywających się w pobudzającej wyobraźnię scenerii.

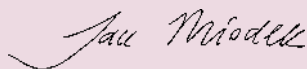
Bardziej wyrobiony czytelnik odkryje w baśni wiele nawiązań do tradycyjnych wątków poetyckich, legend, archetypów, a także Biblii. Każdy – odnajdzie w niej odwieczną tęsknotę za miłością i przyjaźnią, które jakże często osiąga się na drodze rozlicznych prób i ciężkich zmagania z losem. Ale one uczą smaku życia, na ich poznaniu polega jego sens – mówi do czytelnika Andrzej Majewski przez słowa i pełne dramaturgu dokonania głównego bohatera swego utworu.

Kto wie jednak, czy nie najważniejsza jest antytotalitarna wymowa baśni. Wszak do najważniejszej, kulminacyjnej w toku fabularnym

rozgrywki Adam, główny bohater, staje z Cesarzem, Panem Wszego Świata, twórcy raju na ziemi, który w każdym człowieku widzi brata, w każdym, który... odda mu duszę. Nietrudno się domyślić, że biada temu, kto oddać swojej duszy nie chce. Przesłanie wypływające z owego wątku jest aż nadto przejrzyste – zwłaszcza dla nas, ludzi kończącego się stulecia, wieku utopii, które przekształciły się w zbrodnicze totalitaryzmy – brunatny i czerwony.

Tak było w dziejach świata zawsze i wszędzie, gdy w centrum takich czy innych przekonań, takiej czy innej doktryny nie stał człowiek – pojedynczy człowiek, gdy w takich czy innych kodeksach nie uwzględniano praw jednostki ludzkiej, a najważniejsze były dla nich klasa społeczna, naród, państwo.

Niech baśń Andrzeja Majewskiego, przyciągająca młodych czytelników atrakcyjną akcją, tak dziś przez nich wysoko cenioną, będzie także źródłem pogłębionej refleksji o sensie świata i ludzkiego życia.



Prof. Jan Miodek